

**GORĄCE
LATO
1939**

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

NR 16 (888)

9 sierpnia 1937

Cena 20 zł

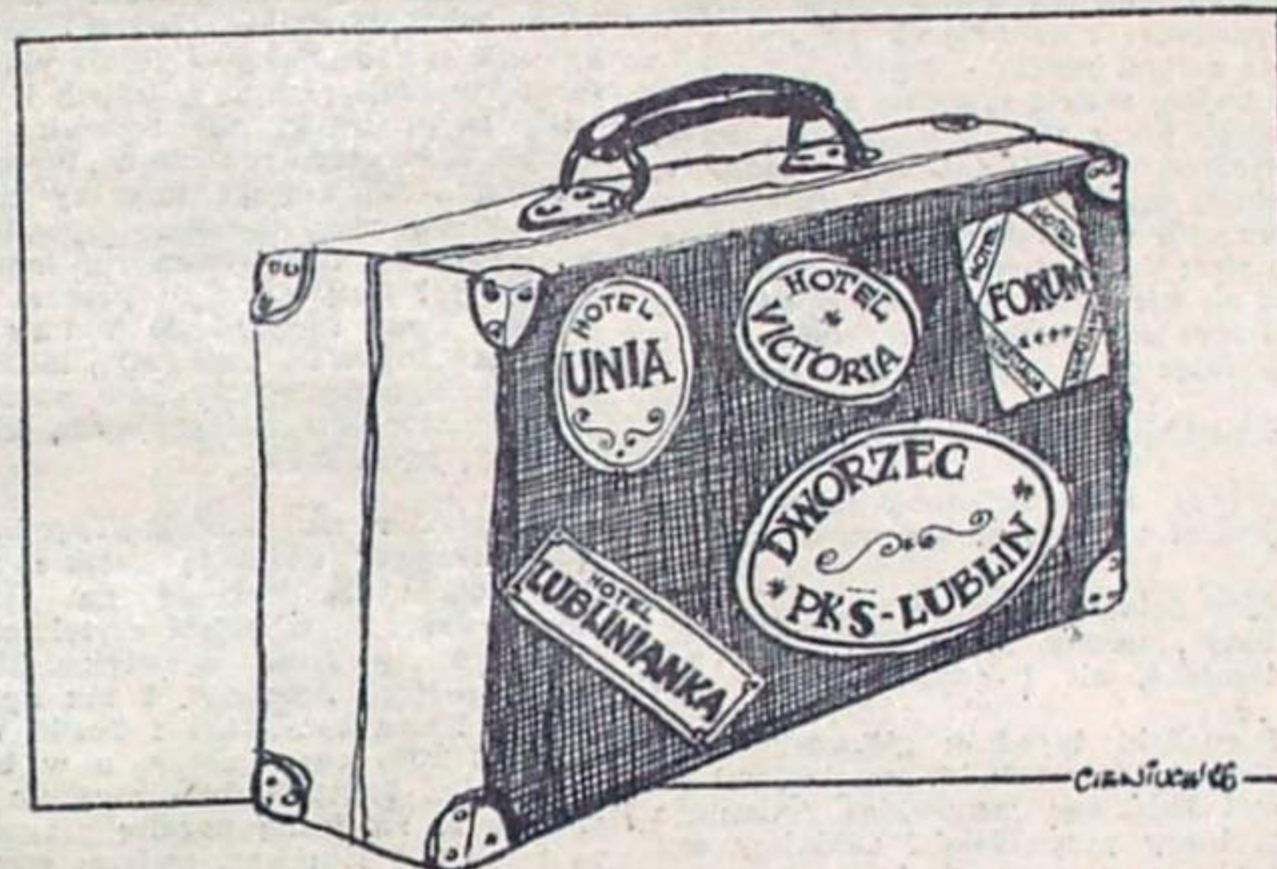
Wiesław Horabik

UPALY tego lata przeszły do legendy, pozostały w poezji utkwily we wspomnieniach („Warszawa przeżywa najgorętsze dni od początku lata. Termometr wskazywał w niedzielę 9 lipca 38 stopni ciepła w cieniu a temperatura wody w Wiśle wynosiła 26 stopni”). Zapewne każdy typ pogody z tego lata przechowałaby jednak ludzka pamięć. Jego kontynuacją był wszak późniejszy wrzesień. Pewnie dlatego pamiętanie objęło to lato jako całość: lato kończące jakiś czas i będące początkiem jeszcze innych odmian czasu. Nie znając go z okruczeń własnych przeżyć jakby i tak znało się je od początku w dziwny osobisty sposób. Najpierw przecież pojawiała się w rodzinnych opowieściach, potem powracało w przeczytanych książkach a stale było chyba obecne w wyobraźni, w naturalnej zdolności kolarzenia i przeżywania historii, kiedy to stary czas się kończy i zaczyna nowy. Choć nie pamiętało się więc tamtego lata z autopsji, czuło się, że musiało być ono trochę szalone i trochę normalne trochę świadome i pełne niewiadomej, beztroskie, ale i bardzo niespokojne. Czy to nie atrybuty każdego lata? A jednak było w tamtych chwilach coś wyjątkowego.

Dokończenie na str. 8—9

Firlej bliski i tani

str. 4-5



Rys. Zbigniew Cieniuch

Jan Górec
-Rosiński

SYNOWIE MARNOTRAWNI

Już w Biblii przykazano,
że jedna owca czarna,
gdy powróci do stada,
to Pasterz ją przygarnie.

Przygarnie i ugości,
wszystkie grzechy wybaczy,
nawet gdyby na boku
wiodła żywot sobaczy.

Sam fakt, że z błędnej drogi
wróciła mu marzenia —
za dziewięćdziesiąt dziewięć
owieczek stoi w cenie.

A stado — jak to stado:
pokornie skubie trawę,
je z rączki Pasterzowi...
Czarna jest jego sławo!



Fot. Przemysław Ostrzyżek

Lubelskie sylwetki

Chodzę po ziemi

ROZMOWA Z MARIANEM MARKIEM CZŁONKIEM KC PZPR, BRYGADZISTĄ Z FSC

— Już drugą kadencję, poczynając od gorącego roku 1981, jest pan członkiem Komitetu Centralnego PZPR. Zatem pracuje pan w polityce?

— No nie, tak nie można powiedzieć! Jestem działaczem politycznym, którego podstawowe źródło utrzymania stanowi przecież etat brygadzysty w zespole samochodów dostawczych lubelskiej FSC.

— Ile pan zarabiał?

— Ze wszystkimi dodatkami, w granicach średniej płacy w fabryce. Żona Helena, która pracuje w handlu, ma więcej.

— Dzieci są?

— Dwóch synów i córka, od 11 do 14 lat.

— Powierzchnia mieszkania?

— 49 metrów kwadratowych, czyli M-4, przy ul. Jedności Robotniczej na Kalinowszczyźnie. Należałoby zamienić na większe, ale żona nie kwapi się do tego, przywykła; na parterze naszego bloku znajduje się sklep, w którym długo pracowała. Fabryka, sklep i osiedle to najlepsze źródła in-

formacji o tym, jak rzeczywiście ludzie żyją, jakie mają problemy i opinie.

— Posiada pan samochód?

— „FSO 1500”.

— Lepiej nie mówić o jego „walorach”...

— Powiem tylko tyle, że siedmioletni egzemplarz, którym wcześniej jeździłem był sprawniejszy. Na szczęście uprawiam działkę która daje nam wystarczającą ilość pomidorów, ogórków czy cebuli. Ten rentowny „interes” pozwala mi zaoszczędzić na benzynie.

— Skąd pan pochodzi?

— Urodziłem się w 1945 roku, we wsi Polanówka, 12 kilometrów od Lublina. Rodzice mieli sześcioro dzieci i drewniany domek (pokój z kuchnią), którego ściany wypełniały trociny. Ciepło było w takim trocniaku!

— Od małego pracował pan pewno w gospodarstwie...

Dokończenie na str. 4—5

z notatnika

31 VII. Daniel Passent napisał w ostatniej „Polityce”, że normalny obywatel bez względu na to, czy zarabia 20 czy 200 tysięcy miesięcznie, jeżeli ma odrobinę oleju w głowie, nie pojedzie na urlop. Dalej uzasadnił dlaczego, podając przykłady zarówno z czasów (turystyki) krajowych, jak i zagranicznych („wiadomości o tym, jak nas gościnnie traktują Węgrzy; Bułgarzy czy inni Jugosłowianie, mogą zniechęcić każdego internacjonalistę, który ma chociaż jedną szarą komórke”). Felietonista „Polityki” kilka gorzkich uwag poświęcił również posiadaczom tzw. dach („... najgorszą formą niewoli okazała się zależność od samego domku. Zarówno w formie utraty wolności spędzenia czasu gdziekolwiek poza swoimi domkiem, jak i w formie nieustającej przy nim pracy. Wymarzona wolność raz jeszcze okazała się niewolą”).

Tak się w tym roku złożyło, że lato spędzam w Lublinie, kursując między domem a redakcją. Pozostałych członków kierownictwa „Kamery” wysłałem na urlop, a więc wycieczek mam absolutnie. Nie tracę czasu na wielogodzinne dyskusje, co dać, a czego nie dać do konkretnego numeru „Kamery”, sam sobie jestem sterem i okrętem, nareszcie wiem, że... żyję. Przypominają się czasy, kiedy byłem sekretarzem redakcji „Głosu Szczecińskiego” za czasów Józefa Bareckiego. Pracowałem się wówczas „na okrągło”, często w nocy jeździł człowiek do drukarni, aby spojrzeć na szrotki (czyli odbite już strony), aby pomieszać depeszowcom, pożartować z drukarzami, poplirtować z korektorkami. Później, kiedy znalazłem się w „Kamery”, która przez dłuższy czas ukazywała się bez sekretarza redakcji, nie mówiąc już o zastępcy naczelnego, wydawało mi się, że mam nieustający urlop. Nagle przejście z dziennika do dwutygodnika (a ściślej, jak to wówczas było, pisma ukazującego się dwa razy w miesiącu) przypominało przeniesienie się z ogromnego miasta do małej wioski. Czas między jednym a drugim numerem dłużył się w nieskończoność; gdyby nie „Nora”, w której wówczas kręciło się wielu interesujących ludzi, oszalałbym kompletnie...

Stare dzieje, bo i do dwutygodnika można się przyzwyczaić, wykorzystując wolne moce produkcyjne do pisania gdzie indziej.

„Głos Szczeciński”, w którym przez siedem lat i trzy miesiące pracowałem (w latach 1957—1964), obchodził niedawno swoje czterdziestolecie. Nowe kierownictwo nie pamiętało już o dawnych robotach, bo zaproszenia na jubileusz nie otrzymałem. Smutno mi trochę było, bo kieliszek koniaku ze starymi kolegami można by wypić i za własnego Kościuszki. Czwierćwiecze „Głosu”, obchodzone w 1972 r., dobrze sobie zakodowałem: szczecińska, zachodnia, gościnność w niczym nie ustępują gościnności lubelskiej, wschodniej. Piszę „nie ustępuje”, choć może należałoby użyć czasu przeszłego? W tym miejscu obrazi się Bogdan Chocianowicz, który w moich szczecińskich latach piastował funkcję zastępcy redaktora naczelnego „Głosu”, a teraz kieruje tamtejszym radiem. Kiedy spotykamy się „gdzieś w Polsce” (Warszawa, Kraków, Chełm, Łomża...), pogaduszkom nie ma końca. No, nie tylko pogaduszkom...

Wyraźnie się starzeję, kiedy tak wracam do dawnych wspomnień. Może już nadszedł czas na tworzenie pamiętnika? Aby tak szczerze o wszystkim i o wszystkich napisać, należałoby się jednak zastrzec, że opublikować go można dopiero po pięćdziesięciu latach. Ba! Rzadko który autor chce pisać jedynie do sejfów!

Deszczowa pogoda nie zachęca do spacerów i wypadów poza miasto. Biorę do domu stos gazet i czasopiśm. Batafia o czytelnika trwa. Ukazujące się w Bydgoszczy „Fakty” zmieniły winietę tytułową (nie wiem, czy na lepszą) i reklamują nad nią zawartość numeru: Wakacyjny KABARETON „Faktów”, co tydzień premiera na str. 16, O medycynie, lekarzach, uzdrowicielach i cudownych preparatach, Czy będę królową? Co wyśpiwają idole? Wizyta starszej pani, Dziennik st. ratownika... W kioskach, jak to zwykle bywa, owe „zajawki” przykrywają inne czasopisma.

W „Kabaretonie” fredrowska „Sztuka oblatywania”, tylko we fragmentach, ale i tak znajduję w niej kwiatki w rodzaju:

*Szynkarz w piwnicy oblatpia gosposię,
Dziarski ekonom na świeżym pokłosiu,
Na piecu kucharz opastego lica,
Dragon na siodle, na dyszlu woźnica,
Každy, jak może i jak mu wypadnie,
Jednak każdemu do twarzy i ładnie.*

*Tutaj widzimy, jak myśliwiec młody
Gwałci dziewczynę nadobnej urody;
Na próżno, krzycząc swoich skarbów
broni,*

*Nikt nie usłyszy wśród lasów ustroń,
Młodzieniec ręce kępuje rękami,
Usta zatyka swoimi ustami,
Po bujnej trawie suwa się z nią wokół,
Walczy jak z wężem, aż zapocil czoło.
Nareszcie dosiada; júbka już padnięta,
Jednak uciecha jeszcze mu zamknięta.
Lecz otóż podle postrzec nam się daje,
Co się z dziewczyną na trawniku staje.
Już się nie zżyma — ze sily opada —
I drzące uda niechęć rozkłada.
Zważając przecie na małych jej
żenicach,
Na pięknych mocniej zrumienionych
licach
Pierwszej rozkoszy czucie się maluje.
I jeszcze większe na przyszłość rokuje.*

ciąg dalszy nastąpi, a więc czytamy „Fakty”, uczmy się sztuki nie tylko oblatywania, ale i gwałcenia.

Poznański tygodnik „Wprost” obok goliżny kusi czytelnika rewelacjami na temat łódzkiego jasnovidza Antoniego Cz., który przewidywał... Oddajmy mu głos:

— Ot, choćby wybór polskiego papieża. Nie mam pojęcia, ile było w kraju osób, które potrafiłyby w 1977 roku przewidzieć, że watykańskie konklawe wybierze Karola Wojtyłę na stołec biskupów Rzymu. Ja o tym wiedziałem dwa lata wcześniej. Tak, nawiasem mówiąc, wydarzyło to się w dzwonych okolicznościach. Byłem wówczas w Poznaniu w trakcie jakiegoś wyjazdu służbowego. Ktoś mnie namówił, abym wziął udział w uroczystościach pogrzebowych zmarłego arcybiskupa poznańskiego. I stało się. Tęm wchłonął mnie w pańskim mieście. W pewnym momencie drzwi balkonowe otworzyły się i ukazały się nam postaci dwóch kardynałów: Wyszyńskiego i Wojtyły. Wyprowadzali na świeże powietrze jakiegoś młodego chłopaka, który, widąc, zaślubił. Przez moment miałem wrażenie, że Wojtyła jest w papieskiej bieli, dokładnie tak, jak ukazał się dwa lata później na placu św. Piotra w Watykanie. Mam nawet szczególną pamiątkę. Otóż po tym zdarzeniu napisałem do Krakowa, do kardynała Wojtyły. I prosię sobie wyobrazić — odpisał. Otrzymałem bardzo serdeczną kartkę.

Dziennikarz „Wprost” (red. Błażej Baraniak-Leszczynski) obejrzał ową kartkę z nadrukiem herbu biskupów Krakowa. Niezbadane są wyroki Boga — pisał Karol Wojtyła — ale Bóg nie robi z nich tajemnicy. Kraków jest również piękny jak Rzym, ale Polaków zawsze tam wielu. Potem serdeczne pozdrowienia, błogosławieństwo i zapewnienie, że biskup Krakowa nawet gdy

by miał zostać biskupem Rzymu, będzie wernie służył Bogu i ojczyźnie i... nie zapomni o jasnovidzach, tak życliwych ludziach jak pan.

W kolejnym numerze poznańskiego tygodnika przepowiednie Antoniego Cz. na najbliższe lata. Tak więc m. in. w latach 1987—1988 dojdzie do kolejnej poważnej awarii elektrowni atomowej w jednym z państw południowej Europy; lot kosmiczny bolidu z międzynarodową załogą z kilku krajów europejskich zakończy się katastrofą; od wiosny 1988 r. rozpocznie się renesans ruchów hippisowskich i pacyfistycznych w całej Europie, dojdzie do poważnych rozruchów w Paryżu i w Rzymie; w Wiedniu odbędzie się w lipcu przyszłego roku „proces stulecia”: główny oskarżony, fizyk-genetyk, korzystając z subwencji rządów USA i W. Brytanii, przeprowadzał badania nad klonowaniem ludzi, czyli reprodukcją kopii człowieka z dowolnej żywej komórki dawcy. Natomiast w 1989 r. fala wstrząsów tektonicznych nawiedzi Wyspy Brytyjskie i południową część Italii, Etna i Wezuwiusz spowodują olbrzymie zanieczyszczenie atmosfery; przywódca brytyjskiej Partii Pracy zostanie oskarżony o narkomanię i homoseksualizm; pod koniec roku liczba ofiar śmiertelnych AIDS w Afryce dojdzie do 100 milionów osób; amerykański domorosły fizyk opatentuje nowy, tani sposób przekazywania na odległość obrazów trójwymiarowych. W 1990 r. czeka nas użycie broni nuklearnej w konflikcie na Bliskim Wschodzie, w październiku tegoż roku świat znajdzie się na krawędzi wojny, Roman Polański zostanie wprowadzony w celu wyłudzenia ogromnego okupu. W latach 1991—1992... Stop! Czy ja mam specjalny ryczałt u naczelnego redaktora „Wprost”, Waldka Kosińskiego, który by mnie (znaczy ów ryczałt) zobowiązywał do propagowania tego pisma na łamach „Kamery”? Oczywiście, że poprzez cytowanie mogę zachęcić do lektury tygodnika „Wprost”, ale moją intencją jest przedstawienie wysiłków poszczególnych zespołów redakcyjnych, które emanują czym mogą.

Tymczasem na łamach „Tygodnika Powszechnego” znajduję gorzkie żale ks. Adama Bonieckiego na temat zmniejszenia się w Polsce czytelnictwa polskiego wydania watykańskiego „L'Osservatore Romano”. I tak np. w 1981 r. liczba zamówień z Polski wyniosła 142 380 egzemplarzy, a w bież. roku tylko 80 000. Lublin znajduje się w ogonie: na jedną parafię przypada tu tylko 6 egzemplarzy, podczas gdy w takim Gdańsku — 18,8, a w Sandomierzu — 17,7. Przyznaję, bez żadnych podtekstów, że dziwi mnie, iż Lublin, siedziba KUL-u, ma trzykrotnie mniej czytelników „L'Osservatore” niż Sandomierz. Czyżby studenci KUL-u woleli czytać, dajmy na to, „Argumenty”?

Właśnie w „Argumentach” znalazłem interesującą relację Małgorzaty Jarockiej o sześciolatnim konflikcie parafian z Przystajni (koło Częstochowy) z miejscowym duszpasterzem, ks. Janem Bałysem. Ksiądz ów, jak opowiadała jedna z matek, wykręcał dzieciom uszy, zderzał dwóch uczniów głowami, ale nie to najważniejsze: przede wszystkim troszczył się o własną kieszeń. W nie wyjaśnionych okolicznościach z kościoła z Przystajni zginęły dwadzieścia cztery sznury koralikowe dekorujące obraz, a datki na remont i rozbudowę kościoła (a także plebanii) gdzie się rozplynęły. Ludzie zażądali rozliczenia się z ich pieniędzy. Proboszcz stwierdził, że za bramę zapłacił 100 tys. zł, natomiast poinformowany o tym kowal powiedział, że bramę tę zrobił za darmo, wziął tylko trzy tys. zł za ogrodzenie dla psa księdza. Podobna była sprawa z drzwiami do zakrystii. Zdaniem księdza miały one kosztować 160 tys. zł, tymczasem robocizna wyniosła 16 tys. zł, a drewno było parafialne. Za ślub ks. Bałys brał po kilkanaście tysięcy zł, a za pogrzeb ok. 30 tys.

Parafianie po wielu perypetiach (szczegółowo w „Argumentach” opisanych) zmusili księdza do opuszczenia Przystajni. Przyjechał aby zabrać „osobiste rzeczy”. Pomagali mu w tym — pi-

sze Małgorzata Jarocka — członkini nowej Rady Parafialnej i mieszkanka Przystajni, na których koszt podstarośno dwa samochody ciężarowe i dwa ciągniki z podwozowymi przyczepami. Jedni wynosili rzeczy, inni sprawdzali ich zawartość. Powstał taki urząd celny. Parafianie odebrali dwie torby turystyczne z 34 tys. zł, 10 zegarków produkcji zachodniej, 10 budzików, kilkadziesiąt nowych porcelanowych naczyń i maszynę do pisania. Ujawniono też kilka mieszkalnych... Mieszkańcy wsi ze zdumieniem odkryli, że ich były duszpasterz ma dziesięć nowych, jeszcze w styropianie, telewizorów. Prawdopodobnie są to telewizory kolorowe. Wydano mu 5 telewizorów, 5 rowerów składanych, elektroniczne organy, 2 zamrażarki, 2 piece gazowe, 2 kuchnie elektryczne oraz sprzęt gospodarstwa domowego. Stwierdzono też, że w garażu jest tysiąc litrów paliwa. Ksiądz Bałys trzymał je w 4 plastikowych beczkach i 20 kanistrach. Wydano mu prawie w całości. Były proboszcz zabrał też maulucha i poloneza, 30 kartonów woja mszalnego, 100 par butów męskich i olbrzymi kosz z bielizną kościelną. Ludzi kręto zalewała, kiedy patrzyli na ten olbrzymi majątek zgromadzony w celach ziemskich. Śmiech wzbudziły trzy talie kart, które wypadły z bogażu, pornograficzne zdjęcia i „świerzczyki”. W pewnym momencie postanowiono, że reszta towaru zostanie na miejscu. Ludzie uważają, iż ksiądz Bałys wziął już wszystko, co do niego należało. Innego jednak zdania był były proboszcz, poniesoż zaraz po wyjeździe ze wsi złożył skargę w Prokuraturze Rejonowej w Oleśnie przeciwko tym, którzy go zmusili do opuszczenia miejsca zamieszkania i uniemożliwili zabranie rzeczy stanowiących własność jego i jego siostry, Marii. Jednak 4 czerwca ksiądz skargę wycofał. 26 czerwca ponownie odwiedził wieś, a przy okazji zabrał meble wypoczynkowe, chłodniarkę i benzynę w beczce...

Proszę nie sądzić, że uogólniam! Casus: ksiądz Bałys traktuję jako przypadek indywidualny, ale tak sobie myślę, które z pism katolickich, skwapliwie walczących m. in. z prywatą, poświęci choć trochę miejsca temu kapłanowi? Może warto czasami korzystać z wzorów prasy, ukazującej się pod hasłem „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”, która nie obawia się piętnować nieprawości z własnego podwórka?

Och, Jaworski, Jaworski, co z Ciebie za marzyciel!

1 VIII. No i mamy już nową Miss Polonia. Została nią Monika Nowosadko z Koszalińskiego, prezentująca się w sopockiej Operze Leśnej pod numerem 5. Nie oglądałem p. Moniki z bliska, niemniej w czasie wyborów zabawiłem się w jurora. Najbardziej podobaly mi się panie z numerami: 1, 6, 8, 9, 12. Piątki wcale nie brałem pod uwagę, mimo że „kocha dzieci”. Dwunastka została pierwszą wicemiss, ósemka — drugą, a dziewiątka — trzecią.

Nie sądzę, patrząc na aktualną Miss Świata i na jej tle na p. Monikę, aby ta miała jakiegokolwiek szanse w dalszych rozgrywkach, chociaż, oczywiście, życząc jej jak najlepiej.

Dziś w wieczornym Dzienniku Telewizyjnym pokazano jedynie zdjęcie nowej misski. Czy to swoisty protest przedstawiciela DTv, red. Swierczyńskiego, który zadebiutował(?) w Sopocie jako prezenter? A z drugiej strony, czy piętnastu członków Wielkiego Jury, z Krakowską, Nasierowską, Łazuka, Piwowskim etc., mogło się aż tak pomylić?

Piętnaście kandydatek do tytułu i piętnastu członków jury! Czekam teraz, który z nich ogłosi votum seperatum. No i czekam na wrażenia Janusza Atlasa i Marka Kasza, bo sądzę, że takie wybory nie mogły się odbyć bez ich udziału. Aż dziw, że nie zasiadali w jury. Czyżby celowo ich doń nie poproszono?

M. A. Jaworski

Kamena 2

W następnym numerze rozpoczynamy druk wspomnień Adama Ochockiego z lat wojny. Odcinek pierwszy: LWÓW - LISTOPAD 1939

W SWOICH pięknie napisanych wspomnieniach „Oczarowania” znana malarzka i scenograf, Irena Lorentowicz, która na początku II wojny światowej trafiła na ziemię amerykańską, tak mówi o zetknięciu się z polonijnym szkolnictwem w Stanach Zjednoczonych i o zakonnicach prowadzących liczne szkoły parafialne:

„Były [zakonnice] niezmiernie ideowe, niezmiernie patriotyczne, uważały za swoje zadanie zachowanie wśród dzieci polskiej mowy [...] Była tam pamiętam, śliczna siostra Blanka o łagodnej uduchowionej twarzy. Jak jasny promień chodziła wśród dzieci z przypomnieniem: »Mów po polsku!«

Teraz, podczas rozmowy z siostrą Cecylią, nazaretanką, nauczającą języka polskiego od kilkudziesięciu lat w dalekiej Filadelfii, wciąż przychodzi mi na myśl tamten passus z „Oczarowań”. W czasie, gdy Irena Lorentowicz pojawiła się, po swojej ucieczce z Francji, przez Portugalię, w Nowym Jorku, siostra Cecylia była jedną z tych młodych, pełnych poświęcenia zakonnice polskiego pochodzenia, prowadzących w szkółki parafialne. I ona też tak także uczyła, przed laty, w polskiej nowojorskiej szkole...

Siostra Cecylia jest po raz drugi starościna tegorocznego kursu Studium Metodyki Języka Polskiego dla Nauczycieli Szkół Polonijnych, działającego z inicjatywy lubelskiego Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS. Pierwszy raz powierzyli jej tę funkcję koledzy-stuchacze dwa lata temu, gdy pojawiła się w studium jako osoba „bywała” w Lublinie, uczestniczka w 1984 r. kursu kultury polskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Teraz, w Studium UMCS, siostra Cecylia jest słuchaczką trzeciego, najwyższego stopniem, kursu dla nauczycieli polonijnych, po którym pisze się już pracę dyplomową...

Kiedy przed trzynastu laty powstała na UMCS idea organizowania miesięcznych kursów wakacyjnych dla nauczycieli szkół polonijnych, uczono się z faktem, że nie od razu inicjatywa ta wzbudziła szeroki odzew. Istotnie, w pierwszym kursie wzięło udział zaledwie siedem osób. Potem jednak impreza zaczęła się szybko rozkręcać, zyskiwać rozgłos wśród światowej Polonii i słuchaczy przybywało coraz więcej. W ubiegłym roku w zajęciach Studium Metodyki Języka Polskiego uczestniczyło trzydziestu siedmiu nauczycieli szkół polonijnych; w tym roku organizatorzy liczyli na czterdziestoro słuchaczy a nadeszły czterdzieści cztery zgłoszenia... Zrezygnujmy z Lublin — jako ośrodek różnorodnych wakacyjnych kursów polonijnych — nabiera znaczenia. Przyjeżdżają tu grupy młodzieży na KUL; na UMCS-ie poza studium od lat ogromnym powodzeniem cieszą się kursy dla instruktorów zespołów folklorystycznych; na wakacyjny kurs kultury i języka polskiego dla młodzieży polonijnej w wieku 15-17 lat (organizowany już po raz piąty) zgłosiły się w tym roku aż czterdzieści cztery osoby (ponad dwa razy tyle ile się spodziewano!)

Czyli, jak powiada do mnie siostra Cecylia: „Lublin jest gwiazdą, która świeciła, ale teraz to — blyszczycy!”

Trzy lata temu kursy dla nauczycieli polonijnych zostały przekształcone w trzystopniowe Studium Metodyki Języka Polskiego z corocznymi zajęciami trwającymi dwadzieścia cztery dni.

Opracowanie programu nauczania w studium było problemem złożonym. Przyjeżdżają tutaj nauczyciele o bardzo zróżnicowanym stopniu wykształcenia; ludzie zatrudnieni za granicą w różnych środowiskach. Jedni nauczyciele pracują odpłatnie, inni społecznie. Są tacy, którzy wykładają w szkółkach parafialnych, i tacy, którzy uczą języka polskiego jako jednego z „języków obcych” w państwowych liceach. Np. we Francji, gdzie od dziesiętności lat istnieje całe okręgi zamieszkałe przez obywateli polskiego pochodzenia, jest wiele gimnazjów z prowadzonymi tam lekcjami języka polskiego, są lektory polskie na uniwersytetach. Natomiast w Szwecji — szczególnie w ostatnich latach, gdy napłynęła tam spora fala młodej polskiej emigracji — obserwuje się zapotrzebowanie na nauczycieli polskiego już dla dzieci w wieku przed-szkolnym. (Dlatego też postanowiono w tym roku, wprowadzić w studium specjalne zajęcia metodyczne dla osób, które pracują tam z małymi dziećmi. Ze Szwecji przyjechało aż dziesięcioro nauczycieli, stanowią oni dominującą grupę wśród swoich kolegów z Austrii, Belgii, Danii, Finlandii, Francji, Holandii, NRD, RFN, Rumunii, USA i Włoch). Wśród samych nauczycieli są różni ludzie: tacy, którzy osiedlili się za granicą już w wieku dojrzłym, po skończeniu szkoły i studiów w Polsce, i tacy, którzy urodzili się poza krajem, a języka ojczystego uczyli się od rodziców i dopiero w kilkadziesiąt lat po przyjeździe na świat zobaczyli po raz pierwszy Stary Kraj...

Do tych ostatnich należy Maria Szydłowska. Czyli — siostra Cecylia, nazaretanka.

Urodziła się niedługo po pierwszej wojnie światowej, w Pensylwanii, w gminie m.astecku Scranton, gdzie osiedlili się jej rodzice, emigranci spod Krakowa. Maria miała sześcioro rodzeństwa. Choć tylko najstarsza siostra, Franciszka, urodziła się w kraju, wszystkie dzieci doskonale mówiły po polsku, bo dbali o to i rodzice i sąsiedzi — Polacy, i miejscowa szkoła parafialna. Siostra Cecylia z rozrównieniem wspomina tamte czasy tamte amerykańskie rodzinne strony przepojone polskością; liczne uroczystości polonijne, patriotyczne obchody, akademie rocznicowe, przedstawienia amatorskich zespołów teatralnych, występy chórów. Dzisiaj Polonia w Pensylwanii nadal jest silna i liczna, ale jednak to już nie tamte czasy. Wiele osób wynosi się w inne rejony kraju, bo coraz więcej kopalń węgla jest likwidowanych i górnicy muszą szukać pracy gdzie indziej. Na przykład w takiej parafii św. Władysława w Filadelfii u księdza proboszcza Bernarda Witkowskiego trzeba było zamknąć parafialną szkołę z powodu zbyt małej liczby polskich dzieci.

— Ale — dodaje zaraz siostra — Polonia przywiązuje nadal bardzo wielką wagę do kultywowania ojczystych tradycji i nauki języka polskiego. W naszej szkole dla dziewcząt w Nazareth Academy w Filadelfii prawie połowa uczennic uczestniczy w zajęciach z polskiego. Ciągłe suszą mi głowę, żeby w przyszłym roku koniecznie zorganizować szkolną wycieczkę do Polski...

Mów po polsku!

Mirosław Derecki

Tę właśnie Nazareth Academy, w której od wielu lat siostra Cecylia prowadzi wykłady i zajęcia, skończyła kiedyś ona sama. Pod koniec nauki zdecydowała się na wstąpienie do nowicjatu, gdyż wówczas prowadzone przez amerykańskie nazaretanki liceum w zasadzie kształciło dziewczęta szyczące się do stanu duchownego. Teraz jest zupełnie inaczej; ogromna większość spośród 487 uczennic Nazareth Academy — Amerykanki włoskiego, irlandzkiego, hiszpańskiego i polskiego pochodzenia — sposobi się do zdobycia po maturze jak najbardziej świeckiego zawodu, traktując szkołę jako na wysokim poziomie postawioną średnią uczelnię.

Siostra Cecylia o tym nawet nie napomyka, ale odnośnie wrażenie, że to właśnie dzięki jej staraniom przed dziesięć laty (po dwudziestoletniej przerwie) wznowiono w Nazareth Academy zajęcia z języka polskiego. W ten sposób powrócono do wcześniejszej, liczącej trzydzieści lat, tradycji nauczania tutaj polskiego przez nazaretanki-Polki.

Przedtem siostra Cecylia przez wiele lat uczyła w polskich szkołach parafialnych, w różnych miastach i miasteczkach Stanów Zjednoczonych — matematyki, polskiego, geografii, śpiewu, tańców no i, oczywiście, religii. Dziś poza Nazareth Academy prowadzi także zajęcia w filadelfijskim, posiadającym status wyższej uczelni, Kolegium Świętej Rodziny kształcącym m.in. przyszłe nauczycielki i pielęgniarki.

I jeszcze ma jedną pasję: organizuje konkursy recytatorskie. Na repertuar składają się polskie wiersze, po polsku mówione.

— Kiedy po raz pierwszy przyjechała siostra do Polski? — pytam w pewnej chwili.

— Wiosną 1980 roku — odpowiada.

To znaczy z górą sześćdziesiąt lat po przyjeździe na świat...

— A ja przyjechałam do Lublina ze Szwecji nie tylko na naukę w studium, ale także w rodzinnej „misji specjalnej”! — powiada pani Barbara Gagnelid.

Urodziła się ona w Polsce, w przededniu wybuchu II wojny światowej. Tutaj przeżyła lat niespełna trzydzieści i osiedliła się na przeciwnym brzegu Bałtyku dopiero dwadzieścia lat temu, zaproszona do Szwecji przez swoją babcię, Ludwikę Broel-Platerową, nieżyjącą już obecnie znaną działaczkę społeczną i polonijną; ta z kolei zamieszkała tam zaraz po wojnie po uratowaniu się z kobiecego obozu koncentracyjnego w Ravensbrück.

Już w Sztokholmie skończyła pani Barbara na tamtejszym uniwersytecie sławistykę; teraz mieszka w mieście Borlänge, dwieście osiemdziesiąt kilometrów na północ od Sztokholmu, w malowniczo

zej krainie Dalarna, regionie najbardziej dla Szwecji reprezentatywnym jeśli chodzi o stroje, folklor i w ogóle szwedzką tradycję.

Barbara Gagnelid należy do grona nauczycieli wędrujących. Każdego dnia wsiada do samochodu i ojeżdża okoliczne szkoły, w których uczy „zalicza” nawet siedem szkół. Bardzo to ciężka i wyczerpująca praca, ale co począć, skoro Polacy są rozmiani w niezbyt wielkich grupach po wsiach i miasteczkach regionu, a wszyscy pragną, aby ich dzieci miały w szkole zajęcia z polskiego.

W Szwecji każdy mieszkaniec obcej narodowości ma prawo do tego, aby jego dzieci mogły uczyć się w szkole państwowej ojczystego języka; przynajmniej przez dwie godziny lekcyjne tygodniowo. Nawet jeśli w szkole jest tylko jedno dziecko rodziców innej niż szwedzka, narodowości, musi mieć ono zapewnionego nauczyciela języka kraju, z którego pochodzi rodzice. Przed wędrującym nauczycielem staje problem nie tylko samego nauczania, ale także uczenia dzieci w bardzo różnym wieku. Zdarza się, że taki nauczyciel musi podczas lekcji nieraz bawić się z najmłodszymi miśmi i lalkami, a z najstarszymi — prowadzić zajęcia, np. z literatury polskiej na poziomie liceum...

Ale wracamy do Lublina i do rodzinnej „misji specjalnej” którą, być może, przed śmiercią obarczyła panią Barbarę (choć o tym nie wspomina) spoczywająca na szwedzkim cmentarzu Ludwika Broel-Platerowa. Otóż chodzi o odszukanie na Starym Mieście w Lublinie domu, w którym urodził się pierwszy mąż „babci Platerowej”, znany polski

kompozytor Ludomir Michał Rogowski; w prostej linii dziadek Barbary Gagnelid. Dom ten znajdować się miał przy ulicy, do której wiedzie droga przez bramę „starej baszty”...

Alści nie trzeba długo szukać: dom „Pod Czarnym Orłem”, w którym 3 października 1831 r. urodził się Ludomir Rogowski stoi przy ulicy Bramowej 2, tuż zaraz za Bramą Krakowską, ową „starą basztą”. W 1981 r., w setną rocznicę urodzin artysty, Towarzystwo Miłośników Lublina umieściło na frontonie budynku stosowną kamienną tablicę pamiątkową.

Nawiasem mówiąc, Ludomir Michał Rogowski był człowiekiem tyleż utalentowanym, co niekonwencjonalnym, i zapewne późniejsza hrabina Platerowa nie wiodła u jego boku życia usłanego różami. Po urodzeniu się córki, zwanej imieniem „Sława, Rogowski opuścił Polskę i osiadł na stałe w Jugosławii. Tam zmarł 13 marca 1954 r.

A tymczasem Ludwika Rogowska, znalazłszy się podczas I wojny światowej w Paryżu, gdzie pracowała w sztabie twórcy polskich oddziałów we Francji, generała Hallera, poznała tam swojego przyszłego drugiego męża, przystojnego oficera, bohatera spod Verdun, wywodzącego się z Kurlandii, hrabiego Józefa Broel-Platera.

W dwadzieścia kilka lat później Józef Plater, aresztowany w Warszawie przez hitlerowców zginał w Dachau. Jego żona trafiła najpierw na Pawiak, gdzie z poświęceniem niesła pomoc współwięźniarkom, a potem — na kilka lat do Ravensbrück. Do Szwecji przyjechała jako tłumaczka z grupą uratowanych od śmierci Francuzek — „królików doświadczalnych”...

— Była wspaniałym człowiekiem, kobietą pełną poświęcenia, osobą wielkiego formatu — mówi o niej Barbara Gagnelid. — A wie pan — dodaje po chwili — ja w Lublinie miałam także jedną z dalszych ciotek. Umarła w Warszawie przed dwoma laty, ale kazała się pochować tutaj, obok swojego ojca, w grobie rodzinnym na cmentarzu przy ulicy Lipowej. Nie wiem, czy uda mi się odszukać jej grób...

— A jak się nazywała ciotka „z domu”?

— Jaczewska. Była córką lubelskiego lekarza, doktora Jaczewskiego.

— To nietrudno będzie pani ten grób odnaleźć. Warto też pójść na ulicę nazwaną nazwiskiem doktora Jaczewskiego, wspaniałego lekarza i społecznika. I obejrzeć stojący przy tej ulicy szpital.

A później proszę opowiedzieć o tym wszystkim swoim polskim uczniom w Szwecji!

**Wybitni
Polacy
w historii
Berlina**

W YBITNI Polacy w Berlinie XIX i XX w., to tytuł wystawy w Ośrodku Kultury i Informacji Polskiej w Berlinie, przygotowanej przez Muzeum Narodowe w Poznaniu z okazji 750-lecia tego miasta. Prezentuje ona sylwetki Polaków, których nauka, praca zawodowa, działalność publicystyczna, czy wreszcie losy wojenne przywiodły do niezbyt nam zyczącego w przeszłości miasta.

Hitlerowcy zniszczyli wszelkie polskie akcenty z historii Niemiec, lub też celowo je fałszowali. Berlińska ekspozycja dowodzi jednak, że rew-

lizowany w sposób brutalny program zacierania śladów polskości nie powiodł się w pełni. Zgromadzone na niej wiele cennych dokumentów, dzieł sztuki oraz pamiatki osobistych, m. in. Jana Henryka Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego; autorów prezentowanej na wystawie odezwy nawołującej Wielkopolan do wolnościowego zrywu.

Polacy uczestniczyli w berlińskich wydarzeniach Wiosny Ludów 1848, a w konsekwencji w nieudanym powstaniu wielu z nich znalazło się w tutejszym więzieniu. Zwolnionych po procesie serdecznie witali mieszkańcy Berlina. W długiej historii miasta

nad Szprewą byli też Polacy, którzy pełnili funkcje administracyjne i dyplomatyczne. Spokrewniony z domem panującym Antoni Radziwiłł był pierwszym namiestnikiem Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Atanazy Raczyński przez wiele lat był ambasadorem króla pruskiego i znanym mecenasem sztuki oraz kolekcjonerem, a jego pałac był centrum życia artystycznego i kulturalnego Berlina.

W Berlinie żyli ponadto Julian Fałat, Wojciech Kosak, Stanisław Przybyszewski, Henryk Wieniawski i wielu innych, wybitnych Polaków.

Ich losy są typowe dla tysięcy żywciorców naszych rodaków, których warunki panujące na ziemiach polskich zmusiły do podejmowania trudnej decyzji opuszczenia ojczyzny w poszukiwaniu pracy. Jeszcze w XIX w. Berlin był najliczniejszym ze skupisk polonijnych. W latach hitlerowskiego terroru środowisko polskie ponosiło niepowetowane straty, wielu Polaków zginęło w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych.

E. K.

kamena 3

Chodzę po ziemi

Dokończenie ze str. 1

— U okolicznych chłopów, gdzieś od dwunastego roku życia, bo cóż my mieliśmy tej ziemi? Ojciec był kolejarzem, konkretnie: kowalem w parowozowni lubelskiej.

— Jak pan wspomina szkołę podstawową? Dziś, wiadomo, instytucja ta cierpi na różne niedostatki.

— Jak najlepiej! Uczyłem się w Prawiednikach, pod okiem dobrych i mądrych ludzi, którzy nie posiadali co prawda tytułów magistrów, ale mieli odpowiednią wiedzę i serce. Lekcje fizyki prowadził na przykład Ludwik Golewski, który zresztą skończył później studia i jest dziś dyrektorem Zespołu Szkół Zawodowych FSC, od 1981 roku, gdzie i ja, ale wiele lat wcześniej, ukończyłem zawód i technikum mechaniczne — pod kierunkiem takich nauczycieli, jak Krystyna Słonec, Wanda Mróz, Krystyna Sadowska czy Stanisław Paczkowski.

— Kiedy trafił pan do FSC?

— W 1965 roku. Pracowałem jako ślusarz.

— No to mamy z sobą coś wspólnego, bo wtedy właśnie napisałem reportaż z FSC, który dał mi etap w „Kamieniu”. Pamiętam, że w tekście gawędziłem coś o żywych pawlach, które dekorowały pejzaż fabryki, choć powiniennem „ująć” np. dyrektora Gustawa Krupa, rzucającego ponoć w fabryce twardą ręką, mówiono nawet — żelazną ręką.

— Proszę pana, Krupa był menedżerem w wielkim stylu, ale jako człowiek miał, co normalne, zalety i wady. Ceniony i lubiany przez robotników, nie znajdował uznania u części kadry kierowniczej, nierzadko z powodów osobistych. Wspominał go dobrze, mimo że wyrzucił mnie kiedyś za drzwi gabinetu, ale w końcu, po wysłuchaniu wyjaśnień, zaakceptował moje zdanie. Za czasów Krupy, pragnę podkreślić, majster, brygadziści czy kierownik wiedzieli, kim są i potrafili egzekwować swoje uprawnienia, a to z kolei miało istotny wpływ na jakość i terminowość produkcji.

— A mieszkanie, od razu dostał pan mieszkanie od FSC?

— Jak to: dostał? Ja zapracowałem na mieszkanie, co zresztą nie trwało tak krótko. Początkowo wynajmowałem stancję, korzystałem z gościnny siostry, która wcześniej osiadła w Lublinie, a po ożenku, kiedy Helena była w zaawansowanej ciąży, przenieśliśmy się wraz z nią do teściowej w

Bychawce, 30 kilometrów od FSC, i stamtąd dojeżdżałem do pracy.

— Pekas — robota — pekas — i pewnie jeszcze robota w gospodarstwie?

— Coś w tym rodzaju. Wstawałem o 3.30, do autobusu wsiadałem o 5.30, wracałem z Lublina po godzinie 17, no i pomagałem owdowiałej teściowej w gospodarstwie, jako że szwagier służył w wojsku. Ale wie pan co? Ja wtedy szybciej docierałem do FSC, niż krewny z cukrowni w Lublinie! Wkrótce przecież fabryka podstawiała autobus zakładowy i było już całkiem znośnie. W sumie trwało to zresztą tylko dwa lata.

— Zadowolony pan z matreństwa?

— A jakże, choć na pewno nie jest to związek ogrodowy, czyli usłany tylko kwiatkami. Są blaski, są i cienie — normalnie.

— A żona: urodziła?

— Gdyby była brzydka, nie ożeniłbym się chyba.

— Od kiedy datują się wnie pana związki, polityczne?

— W 1960 roku wstąpiłem do ZMS, dwa lata później, nie mając jeszcze 18 lat, do PZPR. Wspomnę, że ojciec, Wojciech, człowiek ambitny i godny, członek partii, był dla mnie wzorem w tym względzie. Swoją postawę próbowałem też wyrażać przy pomocy pióra.

— Pióra? Co prawda młodzi ludzie często zapadają na poezjopisanie...

— Ja pisałem coś innego: artykuły do „Głosu FSC”, kiedy gazeta powstawała wysiłkiem rzeczywiste społecznych współpracowników, korespondentów. „Głos” redagowali wtedy Leopold Górski i Józef Kuźnicki. Uczyłem się publicystyki, drukowałem, czerpiąc z tego sporo satysfakcji przez całe pięć lat. Zachowałem dyplom uznania, podpisany przez Kuźnickiego.

— Od 25 lat będąc członkiem partii, „zaliczył” pan spory fragment „kalendariusza polskiego”, oznaczonego przez takie wydarzenia, które niejednemu zniechęciły do angażowania się w życie społeczne, lub nawet skłoniły do zajęcia diametralnie odmiennej pozycji.

— Uczestniczyłem w tych naszych zakrętach, przełomach i kryzysach, ale wcale nie czuję się zawiedziony. Nie znaczy to, że słowo Instancji przyjmowałem bezkrytycznie, na wiarę. W grudniu 1970 roku, po ogłoszeniu listu Biura Politycznego w sprawie słynnej podwyżki cen przed świętami, powiedziałem publicznie, na zebraniu, co sądzę o takiej technice działania. Nie kwestionowałem potrzeby tej podwyżki, lecz sam termin jej wprowadzenia. Zdaje się, że huknąłem i coś w tym stylu: „Ale Gomułka znów dał się wpuścić w maliny!”

— No i co?

— Przeprowadzono ze mną rozmowę dydaktyczną, podczas której, powołując się na statut partii, obroniłem swoje prawo do krytyki.

— Jak pan ocenia lata siedemdziesiąte?

— Wtedy, no cóż, młody byłem, usposobiony krytycznie i jeśli chodzi o życie wewnątrzpartyjne, to drażniły mnie niektóre posunięcia, mające na celu choćby „rozbudowę szeregów PZPR”. Oznajmiłem, że nie mam zamiaru ciągnąć na siłę ludzi do partii. Inna sprawa, że osoby, które wówczas rekomendowałem, do dziś są w organizacji.

— Ili członków liczy obecnie partia w FSC?

— Ponad 1000, przy prawie dziewięciotysięcznej zalodze.

— A jak pan widzi tamten okres generalki, z perspektywy czasu?

— Cele były wielkie, efekty cywilizacyjne też okazały się znaczne. Niestety, znów zawiodły sposoby realizacji przyjętych programów, co uniemożliwiło osiągnięcie trwałego sukcesu. To nie Gierk zawiń, on tylko określał pole i zasadnicze kierunki działania, których realizacją zajęły się tysiące ludzi. To przecież decydenci różnych sfer: ekonomiści, inżynierowie, bankowcy i fachowcy wszelkiego autoramentu „zalatwali” pożyczki, kredyty, zakupy maszyn i innych dóbr inwestycyjnych, nierzadko kierując się partykularnym czy wręcz osobistym interesem. Za ciężkie dewizy sprowadzano na przykład urządzenia, które w polskich fabrykach pracowały tylko po dwa dni w tygodniu, bo były zbyt wydajne, za szybko w stosunku do naszego parku maszynowego. Bywało i tak, że nowoczesne maszyny kupowano w różnych

Firlej bliski i tani

DO wystawionej vis-a-vis spożywczego sklepu skrzynki coraz to podchodzi ktoś z miejscowych i letników. Nim dobiegłam, po pomidorach, bo właśnie ten towar przywiózł był gospodarz, nie pozostało ani śladu. Nawet ceny. Pomyślałam: temat wczasowy, jak znalazł.

Tymczasem po przeciwnej stronie rynku, przy zamkniętym na cztery spusty kiosku z warzywami, stanęło kilka kobiet.

— Zamknięty? — zapytałam, choć było to oczywiste.

— Zamknięty — odpowiedziały mi pogodnie kobiety.

— Nie za wiele widać tu towaru — pociągnęłam dalej temat.

— Jak przywiozła, to jest — odrzekły filozoficznie.

— To pewnie ciągle brakuje i mieszkańcom i tym, co w namiotach — drażylałam problem.

— E, nikomu nie brakuje, bo kto chce, kupi sobie w kiosku nad jezioro — zbilżył mnie zupełnie z pantatyku owe firlejanki. — Tam nawet bywa lepsze zaopatrzenie niż w Lubartowie — dodały, niweczając mój „wczasowy” temat.

Poszłam więc w opłotki i nad jezioro zobaczyć, jaki ten Firlej jest z bliska? Drewniane, żółte domki zdawały się tonąć w kartoflanej naci.

Bujnej i kwitnącej. Pasowało to jednak do wysmukłych lilii i napastrnicy, a nawet do trawy, podchodzącej do progów domów, stajen i jeziora.

W rynku nowy właściciel podnosił domek na lewarach, wzmacniał i podwyższał fundamenty. Będzie czuć się pewnie, a i sam domek nie wypadnie z szeregu tych, co się jeszcze przy rynku ostały. W 1933 r. pożar strawił wiele z dawnej zabudowy Firleja. W 1937 r. przewagę wzięły już domy murowane. Przemija więc czas drewnianego Firleja, tylko patrzeć, kiedy cały będzie willowy, tynkowany z weneckimi oknami i szwedzką w nich stolarka. Jak na razie, zapis w katalogu zabytków potwierdza rzeczywistość, tak, istniejące jeszcze przy ulicach Partyzanckiej, Rynku Cmentarnej i Szczytowej zabudowa drewniana o konstrukcji zrębowej, węgłowana na rybi ogon, z dachami dwuspadowymi lub naczółkowymi i z ta podchodząca pod nami domów trawa.

Natomiast z lektury innego kompendium wiedzy o Firleju — poradnika turystycznego pt. „Dokąd w wolna sobotę i niedzielę”, pozycji wydawniczej lubelskiego WOI, dowiedziałam się, że „obecnie Firlej słynie z wyrobów garncarskich. Do najbardziej znanych należą wyroby garnca Leona Jezioro, wyrabiającego czerwone naczynia glazurowane, zdobione ornamentem rytym”.

Odnajdując adres: ulica Nadjeziorna, zgadza się o tyle, że wzmiankowany przez autorów poradnika, wydany w 1933 roku, garnca nie żyje już od dwunastu lat, więc żadnym sposobem nie może wysławić Firleja. On był to ostatni garnca, który wyrabiał owe piękne firlejowskie dzbanki, działy, imbryki, wypalając je w swoim „szakowskim” — tak zwano ten rodzaj — piecu, pionowym, dwudzielnym. Piec trafił do muzeum lubelskiego, a w domu nie pozostała ani jedna gliniana skorupa! Pomy-

ślać, że w Firleju w 1816 r. — jak podaje Wanda Siliwna — car Aleksander I zatwierdził cech garnarzy, do którego zapisał się również i kowale, i stolarze, i cieśle, i bednarze i stelmachowie. Cech przetrwał ponoć do 1944 r. W 1914 r. garncarskie kole toczyło dwudziestu firlejowian, w 1939 r. — trzynastu, w 1945 r. — już tylko sześciu: Leon Jezioro, Jan Smolński, Antoni Janczara, Bolesław Piwowar, Kazimierz i Tadeusz Filowie. W latach pięćdziesiątych było już tylko dwóch czy trzech garnarzy.

Wstępuję do Urzędu Gminy. Jest sobota, urząd pracuje. Jest chwila czasu na rozmowę z naczelnikiem, inż. Adamem Chudowolskim. Interesuje mnie, jak Firlej stara się w tym roku przyjąć wczasowiczów? Przede wszystkim — nie darując tych pomidorów, co mi przemknęły ze skrzynki — pytam o zaopatrzenie.

— W artykułach spożywczych — odpowiada naczelnik — przydzielały się tego lata większe. Uzupełnia je nasza piekarnia i masarnia. Warzywa i owoce dostarcza GS i Spółdzielnia Ogrodnicza z Lubartowa. Dobrze zaopatrzone jest kiosk warzywny nad jeziorem. Gorzej, a może i lepiej (?) — jest z alkoholem. Wydział handlu nie przedłużył cesji na jego sprzedaż w firlejowskim sklepie.

— Widzę, że nie tylko na rynku, ale i na bocznych uliczkach jest czysto — zmieniam temat.

— Tak, czysto — potwierdza naczelnik. — Zmobilizowaliśmy się wewnętrznie, to znaczy: pracownicy miejscowych instytucji, organizacji, szkół. Trzeba było posprzątać samemu, to i posprzątaliśmy. Mamy jednak spore trudności z wyegzekwowaniem usług

w tym zakresie od lubartowskiego PKM. Za mało etatów, za mało sprzętu. Na Firlej wypada w tym roku tylko jeden pólstat, w ubiegłym roku mieliśmy dwa. Gdyby tak jeszcze mieć chociaż ciągnik i kosiarkę! Na wywóz śmieci trzeba specjalnie najmować furmanki. Ale — dodaje naczelnik optymistycznie — zawiązana niedawno przez Urząd Gminy Spółka Wodno-Ściekowa realizuje już trzeci etap prac związanych z „wodociągowa obwodnicą”. Jak dobrze pójdzie, to pod koniec lata ośrodki i Firlej będą miały swoją wodę!

Woda z dobrych, głębinowych źródeł to być albo nie być dla położonych wokół jeziora ośrodków. To także nieopisana wygoda dla mieszkańców Firleja Ci, którzy się jeszcze nie zdecydowali przystąpić do spółki — głównie ośrodki wczasowe — niech się jeszcze zastanowią, bo na jak długo wystarczy im podłączona rafałanowa woda? Odwiedzanie decyzyj o przystąpieniu do spółki przysporzyć może w przyszłości dużych kłopotów.

Krąję dalej po Firleju. Jest tu restauracja „Wczasowa”, na nowo przebudowana po niegdysiejszej „Firlejance”. Ani jej poznać! Wnętrze w stylu ludowej izby, kominek, tatarak we flakonach, ładnie. W karcie — kilka mięsnych dań, na życzenie — zupa mleczna i chłodnik. Bez dancingu jednakże, bo to ponoć nieopłacalna impreza, uderzająca po kieszeni pracowników zakładu. A wesela? I owszem, ale z własną orkiestrą i restauracyjną wódką. Inaczej też nieopłacalne, ba, nawet ryzykowne.

W ubiegłym roku „Wczasowa” znalazła się w placce laureatów konkursu o „zdrowy posiłek i przyjemny wypoczynek w naszym zakładzie”.

— Postaramy się — mówi kierowniczka restauracji, Ewa Osiak — by było jeszcze lepiej.

Z powodu awarii browaru piwo podaje się tu kufłowe. W restauracyjnym „natio” jeden z piwoszy gra na listku. Też folklor...

Uciekam nad jezioro, co pluszcze tuż za ścianami domów. Prawie 90 ha wo-

Armach zagranicznych, bezskutecznie głowię się później nad zbudowaniem z nich spójnej linii technologicznej. Te konstrukcje miały odmienne parametry, po prostu nie pasowały do siebie. Dobrze natomiast „pasowały” do uzasadnień podróży służbowych za granicę. Takie wyjazdy nie pobudzały nawet inwencji twórczej kadry inżynierskiej, przeciwnie — hamowały ją, bo przecież wszystko można było kupić na Zachodzie!

— No dobrze, ale gdzie była partia?

— Otóż to: centrum nie panowało nad sytuacją. A jak nie ma skutecznej kontroli i poszanowania pryncypiów, to jest samowola i prywatność. Wadliwe sterowanie życiem społeczno-ekonomicznym doprowadziło do sierpnia 1980 roku, choć gdyby cztery lata wcześniej, kiedy nastąpiło to klasyczne tapnięcie przedzawalowe, zmieniono strategię i taktykę działania, nie byłoby w Polsce kryzysu, który tak zmienił gospodarkę i ludzką świadomość.

— Po sierpniu zapotrzebowano się też na FSC...

— Z powodów ekonomicznych; elementy polityczne przeniknęły później, z Wybrzeża. A zaczęło się na wydziale tłoczni, gdzie właśnie pracowałem; nieprzemysłowa decyzja ekonomiczna spowodowała napięcie, którego nikt z kompletnie zaskoczonych kierownictwa nie próbował nawet rozładować. Gdyby znalazł się taki przytomny, wyjaśnił ludziom, w czym rzecz, może inaczej potoczyłyby się sprawy.

— Powszechnie wiadomo, jak odważnie bronił pan wtedy racji państwa i publicznie stwierdził, między innymi na łamach „Sztandaru Ludu” z 30 kwietnia 1981 roku, że nie zamierza oddać legitymacji partyjnej. W biuletynie „Solidarności” nazywano pana twórcą, gorzej jeszcze, ale jednocześnie ten sam tytuł przyczynił się do uhonorowania towarzysza Marjana Marka odznaką „Zasłużony dla FSC”. Przy okazji: co się dzieje z ówczesnym przewodniczącym zakładowej „Solidarności”?

— Pracuje w fabryce.

— A za ile, przeciętnie rzecz biorąc, pracuje się w FSC?

— Średnia zarobki sięga 28 000 złotych.

— To pewnie brakuje wam ludzi?

— By fabryka mogła funkcjonować normalnie, wydajnie, konieczne jest zatrudnienie 1500—2000 osób ponad stan obecny. Taka już jest specyfika linii technologicznych, że jak przy taśmie zabraknie 5 procent zarobki, to wydajność spada o 50 procent. Jeśli w odlewni nie ma akurat zalewacza, który wytapia metal, to pozostali już nic nie robią.

— To jakim cudem FSC zamierza uruchomić serię produkcji nowego żuka?

— Dotknął pan sprawy tyle poważnej, co skomplikowanej potrzebą uzyskania wielkich pieniędzy. Wprowadzić FSC to podstawowe ogniwo motoryzacji w Polsce, ale inne fabryki samochodów też stoją w kolejce do kasy państwowej, która jest taka, jaka jest. Mogę powiedzieć tylko tyle, że zgodnie z zapisem w Uchwale X Zjazdu PZPR nowy samochód dostawczy z silnikiem wysokoprężnym pojawi się na naszych drogach, to nie ulega wątpliwości. Tymczasem w ruchu znajduje

się seria Informacyjna, próbna, ze znakiem FSC Lublin.

— A może tak, czy ja wiem — demokracją wesprzeć ten nowy model, ogłaszając jakieś referendum w narodzie?

— Zabawne. Choć nie całkiem, ponieważ nie ma demokracji bez poczucia odpowiedzialności, z tą zaś bywa u nas różnie. Na ogół za demokratyczne uchodzą takie decyzje, które spełniają popularne postulaty i oczekiwania, bez względu na stopień ich realizmu. Tymczasem prawdą pozostaje, że najlepsza władza nie jest w stanie zadowoląć wszystkich. Osobiście nie mam złudzeń, że rozwój społeczny to proces jak strzeł, bezkonfliktowy. Idzie jedynie o to, by krótkie a nawet mocne spięcia nie zamieniały się w jawny kryzys, w walkę wszystkich ze wszystkimi. Nie wierzę też w ideał absolutnej wolności. Nawet mała grupa nie może istnieć bez przestrzegania pewnych zasad, które przeciwnie ograniczają swobodę jednostek.

— No to przejdźmy do tematu dnia pod tytułem „reforma gospodarcza”.

— Powiedziałem kiedyś profesorowi Bace, wówczas ministrowi, że reforma przypomina siatkę narzuconą na naszą gospodarkę: siatka ma takie oczka, że przepuszcza uciekające spod niej myszy, a zatrzymuje koty, które miały przecież tąpić gryzonie. No i koty miauczą, jak Polska długa i szeroka. Reforma jest konieczna; zdecydowana, stanowcza i pryncypialna. Tymczasem — jak może być, że rolnikowi bardziej oplacają się gerbery, niż ogórki, a za przekroczenie funduszu plac o ponad 12 procent zakład dostaje po łapach?! Niechże w końcu każdy człowiek, własnym, indywidualnym wysiłkiem, decyduje o wysokości swoich zarobków! Uczciwą inicjatywę środowisk zawodowych czy jednostek ciągle krepują zbyt liczne, zagmatwane, a bywa, że i nieczyłowe lub nawet paradoksalne przepisy prawne. Inna sprawa, że niektóre zakłady po cichu ustanawiają własne „prawa”; chcesz od nas to lub tamto, proszę bardzo, ale za dolary! Samowola, diabli nadali!

— Jak wygląda kondycja partii w FSC?

— Polepsza się, skoro nawet bezpartyjni, nawet nie należący do związku zawodowego coraz częściej przedkładają nam swoje sprawy. Sporo pozostało jednak do zrobienia, fakt.

— Będąc członkiem Komisji KC do spraw Skarg, Wniosków i Sygnatów od Ludności, nie narzeka pan zapewne na nadmiar wolnego czasu.

— W polu mojej uwagi są dwa województwa: lubelskie i zamojskie. Otóż, kiedy ogłoszono w „Tygodniku Zamojskim”, że członek KC będzie przyjmował obywateli, którzy mają jakieś kłopoty, problemy czy postulaty, na spotkanie przybyło prawie 150 osób. Rozmawiałem z tymi ludźmi od godziny 9 rano do 3 w nocy, 18 godzin, oczywiście z przerwami na odsapnięcie.

— Świadcząby to o zaufaniu do partii...

— Owszem, ale satysfakcja byłaby większa, gdy-

by nie przeświadczenie, że wiele z tych spraw można było załatwić normalnym trybem, na miejscu, bez odwoływania się do pomocy KC. W odwiedzonych miejscowościach, w fabryce, w osiedlu stykam się z problemami, historiami i z zupełnie tuzinkowymi sprawkami; poczynając od mieszkań, placowych, wynikających ze stosunku pracy, po rodzinne i obyczajowe. Umożliwiam rolnikom nabycie nawozów sztucznych i materiałów budowlanych, zdarzyło się, że godziłem zważnione małżeństwo... Nierzadko przychodzi mi wyjaśniać ludziom, że ich racje są subiektywne, wręcz wyimaginowane i to są najtrudniejsze sytuacje. Ale co robić, skoro formalnie kompetentne instytucje i organa administracji ciągle jeszcze posługują się tzw. psychotechniką?! Cenię sobie przecież i szanuję to zajęcie, które umożliwia głębsze wejście w wielopoziomowy i skomplikowany układ życia społecznego.

— Czy wśród tych skarg i wniosków nie ma kwestii ściśle politycznych?

— Pojawiają się, ale rzadko. Po jednym ze spotkań otrzymałem na przykład list, w którym autor pytał, jaka to jest przyjaźń między narodami naszego bloku, skoro obywatele nie mogą swobodnie odwiedzać się wzajemnie, bez potrzeby pokonywania różnych barier paszportowo-biurokratycznych?

— Słyszałem, że jest pan kibicem sportowym. Ogłędamy nieco „Motoru”?

— Może dwa razy w sezonie. Interesuję się przecież sytuacją klubu, którego występy przyciągają na trybuny i 5000 pracowników FSC. To nie jest sprawa drugorzędna, to fakt o znaczeniu społecznym. Kulturę fizyczną uprawiam też osobiście — na własnej działce i na polu znajomego rolnika, któremu pomagam podczas zbiorów. Kiedy zostałem członkiem KC, zastanawiano się we wsi: pomoże teraz, czy nie pomoże, nadejść go stolica, czy nie?! Pomogłem, no i w rezultacie, kiedy odwiedzałem znajomego, zobowiązany jestem do wypicia symbolicznej szklanceczki wina pod sklepem GS, częstowany przez gospodarzy, oczywiście po godzinie 13.

— Ma pan 42 lata, a włos postaciały.

— To kwestia urody. Moja babcia w wieku 88 lat nie miała śladu siwizny.

— Pańskie wystąpienia na plenach KC i innych zgromadzeniach partyjnych znanonuje znaczna ekspresja i dobitna artykulacja. Jak odnotował publicysta, na VI Plenum KC w roku 1981 stwierdził pan, „za podjęcie uchwały w sprawie reformy bez uregulowania sytuacji politycznej i zapewnienia ładu społecznego będzie kolejnym dokumentem Komitetu Centralnego, który będzie pokrywany kurzem tak, jak fest z uchwałami poprzednich plenarnych obrad Komitetu Centralnego. Pominięcie tych spraw w dzisiejszych obradach, to nie innego jak konieczność dopisania reformie czwartego „S” — samounieścienienia kraju i narodu”.

— Chodzę po ziemi, widzę jak ludzie żyją, czego pragną, mam czyste sumienie, więc dlaczego nie mam powiedzieć głośno tego, co myślę?!

Rozmawiał: Ireneusz J. Kamiński

dy, prawie 10 metrów głębokiej. Twarde, piaszczyste dno, sosnowy las. Po drugiej stronie jezioro Kunów — 117 ha powierzchni, 3,6 metra głębokości, płytkie, zarastające brzegami. Wokół „dacz” indywidualnych letników.

Kto o tych jeziorach wie? Na szosie ani śladu informacji o walorach turystyczno-rekreacyjnych tej części Równiny Lubartowskiej.

A mimo to na campingu WOSiR samochody z warszawską, szczecińską, wrocławską, katowicką rejestracją. Przyjezdni mówią, że jest tu tanio, czysto i spokojnie. I dlatego, kiedy opuszczają camping, zostawiają pisemne rezerwacje na rok przyszy, lub dosyła ją wraz z noworocznymi życzeniami.

To tutaj właśnie, na campingu, jest ten „legendarny” kiosk warzywniczy, podobno oczko w głowie prezesa lubartowskiej RSO. Bywają w nim i arbuzy, i brzoskwinie! Pomidorów wprowadzić już nie widziałam, ale za to spostrzegłam bogaty wybór soków.

— Z czym jest kłopot? — zwracam się do kierownika ośrodka WOSiR, Zygmunta Michonia. W roli sympatycznych „sufferek” występują recepcjonistki — Ania i Marzenka z Lublina.

A więc brakuje pieczywa i mleka. Zamiast obiecanych 400 chrupiących bułeczek kiosk spożywczy otrzymuje ich 150... Drobną różnicą.

W tym ogólnie dostępnym obiekcie konieczna wydaje się obecność, przynajmniej w soboty i niedziele, karetki pogotowia. W ubiegłym roku była, w tym już nie. A dodajmy, że ośrodek zdrowia w Firleju jest czynny tylko do godziny piętnastej. W niektórych ośrodkach są zatrudnieni lekarze, którzy nie odmówią w nagłych przypadkach pomocy, ale skorzystanie z porady lekarskiej w innych, mniej groźnych i gwałtownych, ale dokuczliwych przypadkach, może stać się problemem.

Pod sosnami — ośrodek Zakładów



Fot. Przemysław Ostrzyżek

Mięsnych. Pora poobiednia, 110 wczasowców odprawia letnią sjęstę. Ale kierownictwo przygotowuje już atrakcje sportowe dla dzieci i dorosłych. Pomoc zgłasza jeden z ojców dzieci, Jerzy Opolski. Widać, że lubi organizować sportowe imprezy.

W programie prawie wszystkich ośrodków nad Firlejem są wycieczki do Lubartowa i Kozłówek. Odbývają się wieczorki zapoznawcze i pożegnalne, zabawy i konkursy dla dzieci. Ośrodek wczasowy pracowników FSC pomyślał o tym, by choć na chwilę odciążyć rodziców od ich pociech,

po to właśnie zorganizowano tam wczasowe przedszkole z wykwalifikowaną kadrami.

Rozmawiał z kierownikiem ośrodka, Jerzym Paleczukiem, o innych jeszcze atrakcjach przygotowanych na ten sezon. Spoglądamy na plasujący zespół pantomimy z ZDK FSC. Wicczorem ma przybyć w ramach wymiany 34-osobowa grupa Węgrów z Debreczyna. I nie będą to jedyni zagraniczni goście nad Firlejem: ośrodek Zakładów Mięsnych za kilka dni powita pionierów z Białorusi.

W tym dniu, kiedy odwiedzałam

Firlej, upał nieco zelzał, ruch więc był umiarkowany. Ratownicy nie odnotowali jeszcze ani jednej akcji. Tylko nie opodal palił się las. Rybacy oblecali wylowić dla restauracji węgorze i sandacze.

Czegoż więcej życzyć? By las w Firleju nie płonął, brzegi pozostały czyste, a półki w sklepach i kioskach kusły miejscowych i letników...

HUMORESKI PAVELA KOSATIKA

Dziwna przemiana profesora Pronsona

PANOWIE, pierwszy wehikul czasu ujrzał światło dzienne! — oznajmił profesor Pronson swym współpracownikom. — Zagadnienie to wymaga jednak szerszych wyjaśnień. Obaj asystenci usadowili się w swych fotelach.

— Dotychczas pisarze science fiction, marzyciele i fantaści myśleli, że wehikul czasu to aparat, który umożli-

liwi człowiekowi przesunięcie w czasie do innej ery, pogadanie sobie z przodkami bądź sprawienie lania niewydarzonym potomkom. Mój wehikul działa na innej zasadzie. Wehikul czasu typu, o którym wspominałem, może istnieć jedynie na papierze — jest to naukowy nonsens, negujący przyczynowość wszystkich zjawisk. Asystencie Kelly, proszę podejść bliżej.

Rozwiązany problem profesora Pronsona

PANOWIE, pierwszy wehikul czasu ujrzał światło dzienne! — oznajmił profesor Pronson swym współpracownikom. Obaj asystenci zamieszali się ze szczęścia.

— Trochę was jednak rozczaruję — kontynuował profesor, kiedy wszyscy wygodnie usiedli w fotelach. — Mój wynalazek umożliwi wprawdzie pod-

różnemu skok w przyszłość, lecz nie się z sobą szereg niedogodności.

— Żadne kłopoty nie odstraszą nas od tak wspaniałego eksperymentu — wykrzyknęli asystenci Kelly i Weil jak jeden mąż.

— Wehikul czasu — kontynuował profesor — mimo iż narusza prawie

Profesor Pronson na Biegunie Północnym

To tylko to? — szeptem rozczarowany. — Teraz nie ma dla mnie ani północy, ani wschodu, ani zachodu, we wszystkich kierunkach jest tylko południe. Każdy podmuch wiatru to wiatr południowy, choćby wiał skądkolwiek. Jeden dzień i jedna noc tworzą tu jeden rok, a sto takich dni i nocy jedno stulecie...

Robert Peary, 6 kwietnia 1909 r. na Biegunie Północnym.

PANOWIE, pierwszy wehikul czasu ujrzał światło dzienne! — oznajmił profesor Pronson swym współpracownikom. — Słyszycie mnie? Wokół nich wirował śnieg, a mroźna wichryca wpychała powietrze z powrotem w płuca, dudnienie wiatru zagłuszało wszystkie dźwięki, nie więc dziwnego, że asystenci profesora byli zbyt zdekoncentrowani, by go słuchać.

Nie uszli nawet kilku kroków, gdy Pronson zauważył przed sobą resztki jakiegoś kopca czy też fragment kry lodowej — w tym śnieżnym piekle trudno się było zorientować. Uklekli w jego cieniu, wycie zamleli trochę ur-

cichło, akurat na tyle, by profesor mógł ją choć trochę przekrzyknąć.

— Pierwszy wehikul czasu ujrzał światło dzienne — powtórzył zaskoczonym asystentom. — Na pewno zastanawialiście się, po co was ciągnęłam aż tutaj, na Biegun Północny? Otóż jesteśmy tu tylko po to, by wypróbować mój wynalazek. Dzień dzisiejszy przejdzie do historii ludzkości.

Obaj asystenci wycharczeli coś spoza sopli oblepiających ich twarze. Profesor Pronson przyjął to jako oznakę radości.

— Zasada działania mojej maszyny jest bardzo prosta — kontynuował profesor.

— Proszę? — krzyknął mu w ucho asystent Weil. Huk wichrycy był tego dnia nadzwyczaj ogłuszający.

Profesor Pronson machnął ręką i wyciągnął z kieszeni niewielki aparat. Na ile dało się zauważyć w gęstniejącej ciemności, przyrząd składał się z kompasu i kilku zębatek, zalanych w przezroczystym pudełku, przyczepionym od spodu do drgającej strzałki magnetycznej. Z pudełeczka wystawała tylko niewielka dźwignia, którą Pronson ostrożnie trzymał w dłoni.

— Biegun Północny, na którym właśnie stojemy, jest idealnym punktem, w którym przecinają się wszystkie południki. Jak widać, to właśnie południki dzielą Ziemię na poszczególne

Asystent Kelly podszedł.

— Kiedy teraz dostanie pan w twarz — powiedział profesor Pronson i wlepił zaskoczonym Kelly'emu siarczysty policzek — zapoczątkuję cały szereg następstw, poczynając od tej czerwonej plamy — wskazał na rumieniec kwitnący na spuchniętej twarzy Kelly'ego — a kończąc na niezbyt przyjaznych myślach, które czyn ten w tej właśnie chwili wywołuje w pana głowie. Tych skutków nie wymaże nic innego, jak właśnie czas. Dziękuję, asystencie Kelly, może pan usiąść.

Asystent Kelly usiadł.

— Każde działanie wywołuje ciąg skutków, które nasze doświadczenia, filozofia i nauka uważają za nieodwracalne. Rozważania o tym, jak to człowiek orzeczony w przeszłość dusi swego tatusia, zaprzeczając w ten sposób własnemu istnieniu, należy

wszystkie istniejące prawa fizyki, jest jednak w pewnym sensie uzależniony od wpływu czynników zewnętrznych. W praktyce oznacza to, że wprawdzie dostaniemy się do przyszłości, lecz zarazem zestarzejemy się o odpowiednią liczbę lat.

Tym razem asystenci nie zareagowali.

— Jeżeli dodatkowo przekroczymy pewną granicę skoku w czasie, dostrzemy w przyszłość nie jako starcy, lecz jako trupy.

Tym razem asystenci również milczeli.

— Obecnie dochodzę do sedna sprawy. Ponieważ nie może się cofnąć ten, komu uda się próba z wehikulem czasu, mamy do czynienia z pierwszym wynalazkiem, którego wynalazcę nie można. Z wynalezienia wehikulu czasu

włożyć między bajki dla dzieci. Fakt ten zdeterminował konstrukcję mojego wynalazku.

Asystenci Kelly i Weil spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

— Podróż wehikulem czasu oznacza przeniesienie do innej ery. Doszedłem do wniosku, że przemieszczenia w daleką przyszłość nie można osiągnąć bez analogicznego przedłużenia wieku człowieka.

Obydwaj asystenci westchnęli rozczarowani.

— Może to budzić rozczarowanie tylko w pierwszej chwili. Dzięki mojemu wynalazkowi, który obchodzi się bez pseudonaukowych teorii, człowiek naprawdę osiągnie przyszłość, co więcej, nie naruszy tym żadnej przyczynowości, ponieważ nie stanie się nic poza tym, że zostanie przedłużone jego własne życie.

nie można czerpać żadnych wymiernych korzyści, albowiem wszyscy odkrywcy znikają bezpowrotnie w przyszłość, bez możliwości przekazania ludzkości jakiegokolwiek informacji.

Profesor patetycznie a zarazem smętnie spojrział na swych asystentów.

— Pana teoria jest poprawna — odezwał się po chwili asystent Kelly. — Ma jednak jeden słaby punkt. Z faktu, że wynalazca znika w przyszłości, powinien pan wywnioskować, że wehikul został wynaleziony już wcześniej.

— Nawet kilkakrotnie — uzupełnił go Weil.

— Nadaję panu tym samym numer porządkowy piętnaście i cieszę się, że nasze grono znów się powiększyło. Wspólnym wysiłkiem postaramy się nasz wehikul udoskonalać i likwidować

strefy czasowe. Można więc powiedzieć, że skoro na biegunach południk te się spotykają, spotyka się tu również czas.

Profesor Pronson roześmiał się z ukontentowaniem. Wydawało mu się, że obaj jego asystenci również się śmieją. Równie dobrze mogliby gwałtownie protestować, w śnieżycy i tak nie było nic widać, a profesor ze smutkiem pomyślał, że poglądów swych współpracowników będzie mógł wysłuchać dopiero po wydostaniu się z tego piekła, co może nastąpić w odległości co najmniej pięćset kilometrów stąd w jakimkolwiek kierunku.

— Jeżeli wyobrazimy sobie bieguny jako punkty przecięcia południków, niechybnie musimy dojść do wniosku, że w tych idealnych, nieskończone małych punktach czas nie może istnieć. Który południk i która godzina może



Rys. Mirosław Mula

tu w tej chwili obowiązywać, skoro tylko to, proszę zauważyć, asystencie Weil — i opatulony w kożuch profesor podniósł się ciężko — że na Ziemi w różnych miejscach jest dzień i noc, zawsze gdzieś jest „dzisiaj”, a gdzieś „jutro”. Kiedy w Moskwie piją wieczorną herbatę, we Władywostoku zaczynają drugie śniadanie w dniu następnym. I tutaj jest to samo — wiatr wyrwał mu słowa z ust. — Wystarczy zrobić krok w tę stronę — przeskończył na drugą stronę kopca — i jestem wczoraj. A zrobię parę kroków — jego ciemny cień ku zaskoczeniu asystentów pojawił się z drugiej strony — i jestem tu dzisiaj. Dobrze, co?

Asystenci zastygli w uprzejmym milczeniu. Wichura wyla jak syreny policyjne włączone na pełny regulator i młotła im w oczy setki klujących kryształków lodu, wirujących nad lodową pustynią. Asystenci nie mogli się odezwać, nawet gdyby chcieli.

— Jedynym w tym idealnym punkcie — tupnął profesor — czasy się łączą. Czas istnieje tutaj we wszystkich wariantach, a zarazem nie istnieje w ogóle, jak chcecie, wszystko jedno — zaśmiał się wesolo. — W tym właśnie tkwi przyczyna niepowodzenia całych pokoleń wynalazców Wehikulu czasu nie trzeba odkrywać, on istniał od dawna, zanim jeszcze pierwszy człowiek stanął na nogach. Trzeba było jedynie to istnienie sobie wyobrazić.

Odgarnął śnieg z twarzy asystentów. Kelly i Weil byli zasypani po brzo.

— Problem tkwił gdzieś indziej: w miniaturyzacji. Chodzi o to, by zmniejszyć człowieka do wielkości idealnego, nieskończone małego punktu, którym jest biegun, i wygraliśmy. Ziemia się kręci, a podróżnik tylko siedzi i czeka, a kiedy już mu się to znudzi, wraca do pierwotnej wielkości, ale innego czasu. Co wy na to?

Coś w pobliżu zawarowało, chyba był to Kelly, który zawsze odznaczał się niskim timbrem głosu, chociaż dźwięk ten mógł być równie dobrze wyciem hordy łądnych krwi śniegów wilków.

— Bez powrotu? — spytał asystent Weil.
— Bez powrotu — przytaknął profesor Pronson. — Po co miałby wracać? Będzie po prostu istniał, żył dalej jak dotychczas, tylko trochę dłużej. Nie będzie mu się chciało nigdzie wracać. Będzie żył i koniec. To wszystko.

— Ale na jakiej zasadzie działa pański wynalazek? — spytał profesora Pronsona asystent Kelly.

— Na bardzo prostej. Obserwując przyrodę, zauważyłem, że długość życia zależy od temperatury ciała i szybkości przemiany materii w organizmie, co jest ściśle związane z jego wielkością i wagą. Im mniejsze stworzenie, tym większa ilość pokarmu w stosunku do własnej masy musi swojemu organizmowi dostarczyć i tym szybciej przebiega jego metabolizm. I na odwrót — z rosnącą masą organizmu, choć nie wprost proporcjonalnie, zwiększa się długość życia. Głównym założeniem mojej teorii jest więc osiągnięcie powiększenia człowieka, zwiększenie go proporcjonalnie do odległości w czasie, jaka ma przebiec. Jeśli więc zamierzamy się przemieścić, powiedzmy o tysiąc lat w przód, powiększamy objętość i masę własnego ciała circa pięćset razy. Oto podstawowa zasada działania mojego wynalazku.

— Interesujące — zauważył asystent Kelly.

— Zaczynam rozumieć — przyłączył się asystent Weil i spojrział w górę na swego mistrza. W tej chwili wreszcie pojął, dlaczego profesor Pronson tego ranka mierzył od pięty do czubka głowy osiemdziesiąt kilometrów.

— Wać jego wady. Nam dwóm na przykład udało się rozwiązać problem starzenia się, z którym pan cały czas walczy.

— Pan jest... — wyszeptał profesor Pronson.

— Sir Isaac Newton, numer porządkowy jeden — powiedział z dumą Weil.

— Te kudły! Powiniennem wpaść na to wcześniej! — pokręcił głową Pronson.

— Nie traćmy czasu — wtrącił się Kelly. — Wehikuł ma jeszcze szereg niedociągnięć. Biermy się do roboty.

— Proszę pana, nigdy by mi nie przyszło do głowy, że pan i ja... — wytrzeszczył oczy profesor Pronson.

— Nie żaden pan, dla pana jestem Albert, kolego — powiedział asystent Kelly i potrząsnął ręką Pronsona.

— Uważajcie, przyjaciele — profesor Pronson spoważniał. — Kiedy przekręcę tę dźwignię, zmniejszą się i odleceć w przyszłość. Maszyna, dzięki której powrócę, musi tu zostać, wolę nie ryzykować i nie brać jej ze sobą. I tu kolej na was. W odpowiedniej chwili nacisnąć ten guziczek i będę mógł wrócić. — Profesor rozejrzył się po raz ostatni i uśmiech szczęścia rozjaśnił mu twarz. — Adios, przyjaciele, odchodzę, by odsłonić kolejną tajemnicę nauki!

Jak powiedział, tak zrobił. Przekręcił dźwignię i znikł.

Wichura waliła w kopiec i zasypywała polarny krajobraz tumanami śniegu i lodu. Poza tym nie działo się nic. Wreszcie z głębokiej zamieci wyłoniła się niewyraźna postać. Ludzka twarz, zsiniała i wymęczona.

— Hej, Kelly! — był to asystent Weil. — Kelly! Gdzie jest profesor?

— Co?

— Gdzie jest profesor? — ryczał Weil poprzez szalony jęk burzy. — Do cholery z tym wiatrem, płuca można wypluć, a i tak niczego nie słyhać. Nie widziałeś profesora? Był tu przez cały czas, kręcił się w kółko i nagle zniknął. Musimy go znaleźć!

Ale żaden z poszukiwaczy, jacy kiedykolwiek istnieli na Ziemi, nie miał większego pecha, niż Kelly i Weil tego dnia.

Przełożyła:
Joanna Czaplinska

Polska poezja Wileńszczyzny

CO PIĄTY mieszkaniec półmilionowego Wilna jest Polakiem. Uwzględniają to władze Litewskiej SRR. Na Litwie polskie dzieci uczą się w 104 szkołach z polskim językiem wykładowym. Dla ćwierć miliona Polaków zamieszkujących Wileńszczyznę namiastką „Mazowsza” jest zespół „Wilia”, któremu matkuje p. Mira Zimińska-Sygietyńska. Tętnią polskim słowem teatry amatorskie. Ambasadą polskości w Wilnie jest przede wszystkim organ KC KPZR Litwy „Czerwony Sztandar”, jedyna gazeta na terenie ZSRR wydawana w języku polskim; prawie połowa 50-tysięcznego nakładu trafia do kiosków w PRL.

Przy tym litewskim dzienniku od 30 lat funkcjonuje kółko poetyckie, grupka około 30 osób piszących po polsku. W ostatnich latach ich twórczość na tyle okrzepła jakościowo, że polska literatura Wileńszczyzny przestała być tylko ciekawostką etnograficzno-socjologiczną. To już jakość rozpatrywania w kategoriach estetycznych. Owocem wzrostu poziomu tej poezji stało się opublikowanie dwóch książek: bliższej wspaniałą poligrafia antologii „Sponad Willi cichych fal” (Kowno 1985, str. 160, nakład 1500 egz.) oraz zgrzebnej poligraficznie „Współczesnej polskiej poezji Wileńszczyzny” w oprac. Jacka Kajtocha i Krzysztofa Woźniakowskiego (Wyd. Polonia, Warszawa 1986, str. 109, nakład 10000 egz.). Obie antologie prezentują wybór wierszy 15 członków kółka, głównie utwory z lat 70-tych i 80-tych, mało znany u nas dorobek poetycki środowiska polskojęzycznego Litewskiej SRR. Są to autorzy urodzeni w latach 1918—1953.

Pozostając z szacunkiem dla ludowo-kulturowych i obywatelsko-retorycznych treści poezji nestorów tego środowiska, należy jednak stwierdzić, że zdecydowanie najciekawsze osobowości twórcze reprezentują ci najmłodsi (przede wszystkim Sławomir Worotyński, Henryk Mażul, Romuald Mieczkowski i Wojciech Piotrowicz), ludzie ukształtowani już w warunkach ustroju radziec-

kiego, niemal wszyscy posiadający wyższe wykształcenie (najczęściej polonistyczne), zatrudnieni w instytucjach związanych z tworzeniem i upowszechnianiem wartości kulturowych wśród litewskich Polaków (prasa, radio, szkolnictwo, itp.) — trzon inteligencji humanistycznej Litewskiej SRR. Twórczość tej czołówki (publikacje m.in. w naszym „Życiu Literackim”) w niczym nie ustępuje poezji ich rówieśników w PRL. A ich kultura literacka? Mieczkowski przyznaje się do znajomości lektur Joyce’a, Exupery’ego i Baczyńskiego. Worotyński chyli czoło przed Gałczyńskim i Harasymowiczem. Mażul krąży wokół twórczości Białoszewskiego i Stachury, kontemplanuje Wojczaka.

Jest jednak w ich twórczości coś, co musi uderzyć czytelników z Polski — żywy i szczerze autentyczny kult Adama Mickiewicza. Oni są po poetycku wrażliwie świadomi, że stąpają po śladach Wieszcza. Nawet w Polsce nie ma już takiej tradycji mickiewiczowskiej. Czy jest to kontynuacja kultury, z jakim obnosili się przedwojenni zagaryści? Tak ale nie tylko. Władze Litewskiej SRR starają się pielęgnować pamięć po Poeście, zaś szkolnictwo (litewskie również) w dalszym ciągu wychowuje według mickiewiczowskich idealów, bez szkody dla pryncypów ustrojowych. Bo przecież — jak stwierdził kiedyś Jarosław Iwaszkiewicz w rozmowie z wybitnym poetą Eduardem Mielzelitsem — Mickiewicz to „most, który łączy oba nasze narody”. Symbolem tej więzi jest pomnik, który w 1984 roku stanął obok gotyckiego kościoła św. Anny w Wilnie. Z kamienną bryłą wylania się skupiona twarz Poety. Dla Litwinów jest to Adomas Mickėvičius. Dla Polaków — Adam Mickiewicz. Dla naszych obu narodów jest to — po prostu — Nasz Poeta. Poeta w bardzo młodym wieku. Taki, jakim go zapamiętało Wilno.

Prezentujemy próbkę twórczości jednego z czołowych młodych polskich poetów współczesnej Wileńszczyzny — Romualda MIECZKOWSKIEGO (ur. w 1953 roku). Po ukończeniu studiów polonistycznych w Wileńskim Instytucie Pedagogicznym pracował w „Czerwonym Sztandarze”. Obecnie kieruje redakcją audycji w języku polskim Radia Litewskiego.

Henryk Makarski

Romuald Mieczkowski

POGOTOWIE

W pracy — zebranie
w domu — ciasne mieszkanie
i to czekanie —
na forszę do pierwszego
do śniegu ostatniego

Wielkie plany cztery ściany
stół pod sufitem do krzesel uwiązany
budzik telefon dzwonek u drzwi
klótnia u sąsiadów układy gry
do apteczki próbka ucieczki
myśli żyletki na nie tabletki

I wtedy okno
podaje mi
poduszkę tlenową

Kajet literacki

Prekursor w jaskini

WCIAŻ usilujemy odpowiedzieć na intrygujące pytanie, jakie są motywy artystycznego działania? Co właściwie robi artysta? Wykonuje tylko zawód? A może cierpi na chorobę? Trudno się zdecydować, bowiem choroba nie może być profesją. Już z samego tylko zestawienia tych pytań rodzi się metafora, jakby to był wiersz, a nie felieton.

Wiele jest motorów artystycznego działania. Najsilniejszy z nich to życie dla sztuki czy poprzez sztukę. Ten model samorealizacji odnosi się zarówno do pacykarzy, jak geniuszy oraz do pewnego kręgu odbiorców, różnego typu pozeraczy książek, gazet, melomanów, kinomanów i tak dalej.

Czy naprawdę istnieje podział na twórców i odbiorców dzieła? Różne są zdania. „Aby istnieć w świecie sztuki, nie wystarczy się nią żywić — pisał Mieczysław Jastrun — trzeba ją two-

żyć, przeżywanie cudzej sztuki nie nasyci głodu rzeczywistości”.

Odbiorca może być masowy jak tłum siedzący przed telewizorem, tłum stanowiący znaczny procent całej populacji, i może być samotny jak entuzjasta czy mecenasz czyjeśgo zapoznane-go talentu. Gdy pewnemu znanemu dziś poecie zarzucano kiedyś, że jego wierszy nikt nie czyta, wtedy on odpowiedział, że czasami czyta jego matka. Tak, miał rację, to wystarcza jako swoiste minimum.

Ważnym celem sztuki, tak dziś bagatelizowanym i ośmieszczanym, jest dokumentacja życia, świata, bowiem sztuka jest naszą najlepszą pamięcią, najwspanialszym archiwum. Wszystko przemija, przemienia się, zatraca w zapomnieniu. Nic na to nie możemy poradzić, ale próbujemy, przynajmniej od tysiącleci wytrwale uprawiając sztukę. No i są efekty. Z wielkich cywilizacji ocalały często jedynie jakieś małe figurki czy teksty na polamanych glinianych tabliczkach.

Dokumentacja świata łączy się często z jego upiększaniem czy też wykoślawianiem obrazu, co jest odwrotną stroną tego samego medalu. Niektórzy jedyny cel sztuki widzą w poszukiwaniu piękna. Jedyny to on dziś dla nas nie jest, ale w dalszym ciągu ważny. Zresztą tyle już o tym pisano w różnych estetyzujących epokach, że dalej debatować nie ma sensu.

Trudno też nie doceniać społecznego zapotrzebowania. A sztuka zawsze była

PRÓBA W TEATRZE

Wszystko tu sztuczne nie ma żadnego życia
bez charakterystyki aktorzy są nikim
Faust oszust stary odsiedział kiedyś trzy lata
nie wnika w sens bytu i traktuje ludzi po swojemu
ja sobaka ty sobaka
Kobiety pozbawione tytułów i światła
nie udźwigną wczorajszego powodzenia
I ci najbardziej scenie zastąpieni
nie mają przekonania w sali
pustej do spraw wielkich
Stop — zabawa skończona mówi więc reżyser
co jest bogiem
i wszyscy zgodnie idą
do bufetu

potrzebna. Okazuje się, że szkoła artystyczna jest najstarszą uczelnią w dziejach szkolnictwa. Z czasów jaskiniowych zachowały się zbiory liczące tysiące — nazwijmy to tak — prac uczniowskich rytym w kamieniu. Pilni adepci studiowali anatomie i ruchy różnych zwierząt. Liczne szkice zgromadzone w jednym miejscu świadcza o tym, że akademia ta musiała działać przez wiele pokoleń i kształcić uczniów ściągających z dalekich stron, bo przecież zaludnienie wtedy nie było tak imponujące jak dziś. Młodzi artyści musieli być zakwaterowani w jaskini i żywieni przez łowców mamutów, choć może niejedną z tych myśliwych psio-czył i narzekał przy ognisku, mówiąc: — A po co nam te malowidła? Tuczają tylko darmozjadów. Kto dziś wierzy w wypacykowanego na kolorowo mamuta? Żywego schwytać to sztuka prawdziwa. Lepiej zapędzić to bractwo do kąpienia wielkich jam-pulapek, najeżonych dzidami i zaostrzonymi palami.

Stwierdziwszy to, jał wymachiwać kołesą udową z wyborynym szpikiem, a potem napil się trochę cięczy z resztek owoców fermentujących w wydrążonym pniu starego dębu.

Uważam, że taki lowca-tryglodyta też miał swoją rację i był na dodatek prekursorem. Przecież to on pierwszy wynalazł pojęcie: kryzys sztuki.

Janusz Olczak

kamena 7

GORĄCE LATO 1939

Dokończenie ze str. 1

Takie pamiętanie bez natręcia własnych drobnych spraw daje jakby obraz pełny i natychmiastowy, porównanie złożony z samych jasnych prawd. Nie potrzeba do tego naukowych dysertacji ani zakodowanych pojęć historycznych, wystarczy możliwość plachty starych gazet.

Ile w nich dumy i pewności siebie płynącej z owych hasel o guziku i płaszczu, ale ile zarazem bezradnych prób samopocieszenia, odepchnięcia natrętnych obaw ustawicznego upewniania się o gotowości, gdy gdzieś w zakamarkach czucia rodzi się niepewność?

„Polska przeszła ciężkie doświadczenia dziełowe, ale też nie zmarnowała ich — nauczyliśmy się liczyć na własne siły. (Czyżby już odprysk niewiary w »żelazne« sojusze — przyp. WH). Dzięki zasadzie liczenia na własne siły stworzyliśmy potężną Armię, mimo że granic naszych strzegły traktaty i pakti [...] Badźmy przekonani, że ani wielkie mocarstwa pokojowe nie wyciągłyby tak łatwo sojuszniczej dłoni do Polski, ani my sami nie cenilibyśmy tak wysoko tego związku — gdyby nie był on oparty na zasadzie »równy z równym«

„Z doświadczeń stulecia niewoli — z doświadczeń wielkiej wojny — wreszcie z doświadczeń dwudziestu lat życia państwowego wysunęliśmy dogmat, który brzmi: Każda próba ukazania nam ponurego widma utraty choćby krzty naszych praw do własnej ziemi, spotkać się musi z naszą szablą, naszym bagnietem, z odporem całej naszej siły moralnej i fizycznej”

Oto dwa fragmenty komentarzy redakcyjnych „Expressu Lubelskiego i Wolińskiego” z lipca 1939. A poza tym?

„Wojska francuskie w Syrii będą użyte w Europie wschodniej”. „Pokojowe ale energiczne stanowisko Angli wobec Japonii”. „Przyjaciel Roosevelta przybędzie do Warszawy”. „Rekordowe zbrojenia morskie Anglii”. „Gwarancje dla Syjamu od Francji i Anglii” (?)

Ileż w tych nagłówkach wiary w sojuszniczą potęgę, wiary w moc odległych sprzymierzeńców, w ich zdolność rozstrzygnięcia o losach świata, w ich prawo do rozdawania wojny i pokoju. Tylko ostatni tytuł brzmi dzisiaj jak kwintesencja tamtych szalonych nadziei, jak ironia „egzotycznego przymierza”, jak przewrotne zbalansowanie „mocarstwowej” Polski z nie nie znaczącym Syjaniem jak potwierdzenie prawdy o łatwości udzielania papierowych obietnic. A przy tym, na czołowym miejscu — nierozpoznane wówczas ostrzeżenie: „Rozmowy w Moskwie bez konkretnych wyników” — „Wczoraj wieczorem na Kremlu odbyły się ponowne rozmowy Molotowa z przedstawicielami Anglii i Francji. Ogłoszony komunikat oficjalny mówi, że rozmowy trwały przeszło dwie godziny i nie dały »konkretnych rezultatów«

Tak uciekała ostatnia, jedyna szansa na skuteczne zapobieżenie wybuchowi.

Mimo ogólnej przewagi tematów wakacyjnych i czasu kanikuły na te groźne odgłosy wielkiej polityki nakładały się także nigdy nie wygasłe, codzienne przepychanki rodzimych sporów, wewnętrznych waśni frakcyjnych nieporozumień. Dopiero Wrzesień miał je chwilowo przytłumić, tworząc jedność i wspólny duch w obliczu katastrofy. Tymczasem trwało podtrzymywanie własnych ideowych racji. Narodowy dziennik „ABC” reklamował na przykład publikację „Likwidujemy żydów — broszura Biblioteki społeczno-politycznej ABC do nabycia we wszystkich kioskach. Cena 5 gr.” „Ilustrowany Kuryer Codzienny” oskarżał ludność białoruską i ukraińską o niszczenie polskich placówek na Wschodzie („Wywrotowcy podpalają domy osadników polskich na kresach”), „Tydzień Robotnika” ukazywał tymczasem niezmiennie oblicze sanacji

(„Nie się nie zmieniło po zjeździe legionistów w Krakowie”) i demaskował przy okazji demagogiczną działalność wiejskiego OZON-u. „Płomyk” zamieszczał zdjęcia żołnierzy na manewrach i pompatyczne wiersze o Marszałku.

Tymczasem w odróżnieniu od niemieckich gazet lawnie wołających już o krucją na Wschód, o zemstę za „polskie zbrodnie na niemieckiej mniejszości”, stosunek do wroga jawi się z polskiej strony jakby odrobine lekceważący, nieco ironiczny, a nade wszystko pełen wiary w zdrowy odruch niemieckiego narodu, który już ponoć dusi się w tyranii już bragnie zerwać więzy, już huczy świętym oburzeniem na szalonego dyktatora. „Rośnie fala sabotaży w Niemczech”. „Terrorysty w Kłajpedzie spalili niemiecką fabrykę”. „Sabotażowa katastrofa niemieckiego pociągu”, a wśród tych doniesień taka oto informacja o „tchórzliwej warcie w Hradczynie”:

„Pewnej nocy ubiegłego tygodnia przed zamkiem w Hradczynie leden z wartowników niechcący nacisnął dzwonek alarmowy. Instalacja połączona jest z koszarą policji i wojsk niemieckich w Pradze. Wkrótce pod Hradczyn zajęły samochody ciężarowe z policją a następnie z wojskiem. Żołnierze oddziału wartowniczego, widząc w ciemnościach sylwetki uzbrojonych ludzi, dobijających się do bramy porzucili karabiny [...] poddali się”.

A zatem owa niemiecka karność, sprawna organizacja, a nade wszystko odwaga — to jakby także część ogromnego bluffu, potwierdzenie nadziei, że

nie taki straszny ten diabeł jak podszeptują raporty wywiadowcze, że rozprawa (jeśli już do niej dojdzie) będzie krótka i szybka. A przy tym: „Znowu dwu żołnierzy niemieckich uciekło do Polski”. (Owe masowe dezercje okazały

Gdańsku”, „Litwini w Kłajpedzie zmuszani do pracy w Niemczech”, „Poester zonglując groteskowymi argumentami”, „Gdańsk zginąłby bez Polski”. Jest i okruczeń tragedii z tamtego pogranicza: „Do polskiego inspektora celnego, L-

TEN PROGRAM NIE POSZEDŁ JUŻ W ETER...

Taki miał być program Polskiego Radia w dniu 1 września 1939 r. Wojna, rozpoczęta przez Hitlera, przygłuszyła nie tylko śpiew ptaków...

6.30: Audycja poranna. 8.05: Kłopoty i rady: „Urwanie głowy” — dialog. 12.03: Audycja popołudniowa. 14.45: „Podróż fantastyczna” — powieść dla młodzieży. 15.00: Muzyka popularna z Katowic. 16.20: Karol Szymanowski: Wariacje na temat Polski w wyk. Alfreda Müllera — fortepian. 17.00: Muzyka do tańca (płyty). 18.00: Kolysanki i serenady śpiewa Stawa Gogojewicz. 18.20: Recital organowy Jana Widomskiego. 19.00: Z poezji Juliusza Słowackiego. 19.30: Przy wieczery — koncert rozrywkowy ze studia na D.W.R. 20.25: Audycja dla wsi. 21.00: Śpiew ptaków — audycja słowno-muzyczna. 21.25: A. Borodin: Koncert smyczkowy D-Dur. 21.55: Wiktor Hugo o Polsce — szkice literackie. 22.10: Pieśni Schuberta i Schumanna śpiewa Maurycy Janowski. 22.30: Utwory Mozarta w wyk. Londyńskiej Orkiestry Symf. — koncert z płyt.

się potem poważnym wzmocnieniem V kolumny).

Nie brak, na szczęście, w tym widzeniu i głosu przecucia i doświadczeń z wielowiekowego tropienia Smetka i powinności demaskatorskiej. „Plotki i straszaki niemieckie o akcji zbrojnej w

pińskiego dopuszczono wreszcie wczoraj obrońcę adwokata Romanowskiego” i informacja o zwykłym szwindlu, kiedy to polski koń został okaleczony przed startem w berlińskich derbach. „Hallo, hallo” — wołają tajemniczo głosy. „Wojna o prawdę w eterze” — to jakby przecucie gliwickiej prowokacji.

Tymczasem dwieście pięćdziesięcioro dzieci z pogranicza pruskiego przybyło w gościnę do warszawskich lotników.

A codzienne życie?

W lipcowym, a potem sierpniowym skwarze toczyło się normalnie rozwickłym urlopowym rytmem. „Zawieszona nad Wisłą pod mostem Peniatowskiego zażywała kąpiel słonecznej”, „Począta plażowa i gry sportowe nad morzem”, „Jedziemy do Gdyni. Dziś pociąg popularny wyjeżdża z Lublina”. „O czym należy pamiętać przed urlopem?”

Popularny tygodnik „Kino” zamieszczał, jak zwykle grubo retuszowane fotosy sławnych gwiazd ekranu i ogłaszał wielki konkurs „Jak Pan(i) woli spędzić urlop — samotnie czy z kimś miłym?”. Nagrodę stanowił czterotygodniowy pobyt w Wiśle. A turnus miał się zacząć siódmego września. Jak obwieścił jeden z ostatnich już przedwojennych numerów pisma z 13 sierpnia, wygrał go pan Zbigniew Polanowski z Warszawy.

W otwockim kasynie bawiła się na dansingu królewska para albańska („Świetnie państwo trafili. Bawi u nas właśnie b. król albański z królową. Przyjechał tym oto Bułkiem — mówił gorączkowo portier otwockiego kasyna, otwierając drzwi do samochodu”). dziennikarze litewcy zwiedzali Warszawę, a Rydz-Smigły pojawił się na koncercie Ewy Bandrowskiej-Turkiewicz.

Lublin żył także swoimi drobnymi sensacjami, a jego mieszkańcy, podobnie jak dziś, tłumnie udawali się na weekendowy wypoczynek do pobliskich Zemborzyc. „Lublin jest w nieszczęśliwym położeniu w okresie upałów letnich [...] w niedzielę i święta zaczyna się gromadny exodus lublinian za granicę miasta. Co niedzielę tysiączne tłumy specjalnym pociągiem dojeżdżają do stacji Zemborzyc, aby wieczorem powrócić do rozpalonych murów Lublina”. Owe powroty nastroczały nieraz podobnych trudności, co i próba wydobycia się dzisiaj zwał Zalewu autobusem MPK. „Gdy o godz. 20 min. 47 nadszedł pociąg i okazało się, że zawiera on tylko... dwa wagony, zaczęły się dziać dantejskie sceny. Ludzie zaczęli masowo wdrapywać się nawet na lokomotywę i tender zajmując miejsca na dachach, buforach, schodkach itp.”



To zdjęcie ukazało się na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” datowanego 3 września 1939 r. Oczywiście numer przygotowany był jeszcze w czasie pokoju. Podpis brami: „słuszną karę na jednego z tych, co chcieli zerwać na bliźnich...”

Repr. Przemysław Ostrzyżek

Zmiana warty

DAĆCY na naszych ekranach amerykański horror „Crittters” w reżyserii Stephena Hereka jest czymś w rodzaju popluczyzny po filmie Joe Dantego „Gremliny rozrabiają”.

Tamten film — wywodzący się, notabene, ze „szkoły” Spielberga — opierał się na dobrym, niekonwencjonalnym pomysle; był doskonale poprowadzony przez reżysera, który potrafił ponadto nasycić go atmosferą baśniowości i swoistą nutą poezji. „Gremliny”, owa przepelniona agresywnością i okrucieństwem opowieść o przerażających, niewielkich stworach opanowujących w dzień wigilijny jedno z amerykańskich miasteczek i rzucających się z zaciętością na ludzi; ta historia z gatunku „science fiction”, czy też raczej: z równoległego do niego gatunku — „fantasy”, mimo całej swojej „współczesności” była jakby wyjęta ze starych, klasycznych baśni braci Grimm.

W „Crittters” mamy, niestety, do czynienia tylko z bezustannym mnożeniem przerażających sytuacji, „mrozących krew w żyłach” scen i... rozdziawionymi paszczami żarłoczych Kriów, małych pusztych stworów tocących się z obłądną szybkością po ziemi i pochłaniających wszystko, co napotkają na swojej drodze.

Kriowie przybyli na Ziemię z jakiejś galaktyki porwawszy starek kosmiczny wiozący ich do więzienia; ścigają ich specjaliści międzygalaktyczni tropiciele przestępców — i to jest jakby cytaty z Lucasa i jego licznych filmowych „gwiazdnych wojen”. Po przybyciu na naszą planetę Kriowie „zadomowili się” w obejściu jednego z amerykańskich farmerów; przesładują jego i jego rodzinę, nie sobie nie robią z miejscowej policji a nawet — samego szeryfa; dopiero przejęcie inicjatywy przez dziesięcioletniego syna farmera oraz wejście przez niego w „układy” z kosmicznymi „tropicicielami

przestępców” sprawia, że Kriowie zostają pokonani — i to, z kolei, jest jakby cytaty z ywcem wyjęty z filmów Spielberga. Aliści wszystko tutaj, niestety, zaczyna się i kończy na „cytatach”, na mniej lub bardziej udanym naśladownictwie, a prowadzi w końcu — do odczuwanego przez widza znudzenia i... oczekiwania, kiedy na ekranie ukaże się upragnione słowo: „koniec”.

Współczesne „baśnie filmowe” wprowadzone na ekran przez Spielberga i Lucasa (a wkrótce potem przez całą plejadę ich uczniów i wyznawców) i przyjęte z niewyobrażalnym wprost entuzjazmem przez młodych i starszych widzów, teraz w sposób zaskakująco szybki zaczynają się publiczności przejawiać. Początkowe zainteresowanie i ogromne sukcesy kasowe przyniosły tak wielki (i tak jednostronny) napływ na ekrany podobnej tematyki, że nagłe zaczęliśmy mieć po dzurki w nosie bohaterów w rodzaju księżniczki Leji i Hana Solo, zabawnych, kłócących się między sobą robotów o najwyższym stopniu inteligencji, wstrętnych kosmicznych potworów, szlachetnych gwiazdnych rycerzy Jedi, oszalałych Gremlinów, krwiożerczych Kriów, i nawet sympatycznych, małych, zagubionych w naszym świecie — „E. T.”

Nic dziwnego, że prędzej czy później musiało dojść do swoistej „zmiany warty” w wielkich filmowych „aglomeracjach” artystycznych. Już wiele miesięcy temu zwrócił na to uwagę francuski reżyser Roger Vadim, pisząc na łamach tygodnika ilustrowanego „Paris Match”: „Młodzi reżyserzy zapomnieli o «komputerach» Spielberga i przykładają więcej uwagi do tego, aby odwoływać się w swych filmach także do inteligencji młodych widzów, których dotąd Spielberg i Lucas zwodzili — niczym (dawnych) Murzynów — «kolorowymi paciorkami» filmowymi”.

Ogromny tegoroczny sukces artystyczny (dwa „Oscary”); za najlepszy film i za reżyserię) jaki stał się udziałem

amerykańskiego filmu „Pluton” (o wojnie w Wietnamie) oraz jego scenarzysty i reżysera Olivera Stone’a, a także — idący z nim w parze wielki sukces kasowy (również wśród młodzieży), wydają się świadczyć o słuszności przewidywań i stwierdzeń Vadima i wielu innych ludzi filmu.

W kinie amerykańskim zaczyna dochodzić do głosu nowe pokolenie reżyserów, z którymi poważnie muszą się liczyć Spielberg, Lucas czy Coppola, nie mówiąc już o Sylvesterze Stallone. Objawiało się także na ekranach młode pokolenie gwiazd aktorskich. Niektóre z nich, jak Kathleen Turner czy Eddie Murphy, są już nam dobrze znane, inne — poznamy zapewne w niedalekiej przyszłości. Warto już więc dzisiaj o nich wspomnieć przynajmniej w kilku słowach:

Trzydziestotrzyletni Mickey Rourke debiutował w filmie Stevena Spielberga „1941”, ale sławę i ustabilizowanie na rynku filmowym przyniósł mu sukces aktorski w „Rusty James” (1983 r.) Francisca Forda Coppola. Jedną z największych nadziei kina amerykańskiego, Tom Cruise, ma dwadzieścia cztery lata; został „odkryty” przez Coppolę w 1982 r. który zaangażował go do swego filmu „Outsiders”. W tymże filmie zagrał również (dwudziestodwuletni obecnie) Rob Lowe (choć, prawdę mówiąc, większy rozgłos od aktorskiego sukcesu przyniósł mu romans z młodszą córką Grace Kelly, bardzo niekonwencjonalną księżniczką Monaco, Stefanią Grimaldi). Duże nadzieje rokuje dwudziestodwuletni Matt Dillon.

Jeśli chodzi o kobiety, to w absolutnej „gwiazdnej czółowce” plasuje się wspomniana już, Kathleen Turner. Dwudziestodwuletnia, a więc nie tak już młoda, aktorka należy do najlepiej opłacanych gwiazd Hollywoodu; za film otrzymuje trzy miliony dolarów. Ostatnio oglądaliśmy ją na naszych ekranach w „Honorze Prizich” Johna Hustona. Coraz głośniejsi o byłe modelce z nowojorskiej agencji fotograficznej, kreowanej na nowy sex-symbol, blondynce Kim Basinger „objawionej” w filmie „Dziewięć i pół tygodnia”, oraz o także ex-modelce, ciemnowłosej Kelly Le Brock, po zagranicę przez nią w filmie „Kobieta w czerwieni”. Wymieńmy na koniec odwrócić rolę Amandy w słynnym amerykańskim tasiemcowym serialu telewizyjnym „Dynastia” — Catherine Oxenberg. Może warto tu dodać, że Catherine Oxenberg jest córką księżniczki Elżbiety Jugosłowiańskiej.

Na ile w ciągu najbliższych lat ta młoda aktorska czółowka amerykańskiego kina zagrozi takim jego filarom jak Jane Fonda, Shirley MacLaine, Marlon Brando, Clint Eastwood, Jack Nicholson, Robert Redford? I czy naprawdę nieodwracalnie zachwiała się pozycja Stevena Spielberga i George Lucasa?

M. D.

Muzyka młodzieżowa

Szokująca Purpura

METALICZNY rock zatacza coraz większe kręgi. Młode kapela i ich liczni wyznawcy częstokroć nie pamiętają, że korzeni tej szalonej muzyki, wywołującej emocje, poruszającej każdy nerw, należałoby szukać w brytyjskim nurcie hard rocka. Hasło to kojarzy się z istnieniem i działalnością kwintetu Deep Purple.

Historia tej znakomitej orkiestry, podziwanej zresztą po dziś dzień, zaczęła się dawno temu. Zorganizowali ją w lutym 1968 roku organista John Lord, gitarzysta Ritchie Blackmore i perkusista Ian Paice. Potrzeba było dwóch lat, aby na rynku pojawił się zgoła sensacyjny (do dziś uważany za klasykę) album „Deep Purple In Rock”. Trzech wspomnianych muzyków uzupełnił zmysłowy wokalista Ian Gillan i basista Roger Glover. W tym składzie mieli święcić największe sukcesy, zbie fortuny, rozstać się w gniewie i ponownie złączyć. Ale po kolei.

Płyta „Deep Purple In Rock” pojawiła się na progu lata 1970 roku, z miejsca zjednując sobie wysoką pozycję wśród wyznawców twardego, progresywnego rocka. Obok motoryki i dynamicznych zagrywek grupa pokazała, jak powinien wyglądać rockowy program porwijący tłumy. Nie da się zaprzeczyć, że Deep Purple wytyczało nowe szlaki muzyki rockowej, wyznaczając granice ekspresji. Pierwsza szalona rymicznie płyta z tak wyidentyfikowanymi kawkami jak „Strange Kind of Woman” i „Never Before” otwierała triumfalny pochód kapeli na listach bestsellerów. W ślad za nią poszły albumy „Fireball”, „Machine Head” i „Made In Japan”. Ten ostatni, zawierający echa japońskich koncertów Głębokiej Purpury, był najbardziej śpiewem wspaniałej grupy. Po doskonałym przyjęciu recitalu w Osace doszło do gigantycznej awantury stanowiącej kropkę nad „i” w karierze zespołu. Wznosiła się ostentacyjnie jego biwencyja i o kon-

tinuacji w dotychczasowym składzie nie mogło być dalej mowy. Nikt zresztą nie próbował lepij rozbitego garnka. Pierwszy posępował kumpil wokalista Ian Gillan, który postanowił założyć własną orkiestrę. Firma pod dawnym szyldem kontynuowana była jeszcze przez przypadkowych muzyków, ale dopadła ją wreszcie agonja. Ostatecznie Deep Purple rozpadło się na trzy działające z różnym skutkiem formacje: Gillan Band, Whitesnake i Rainbow. Ta ostatnia kierowana przez gitarzystę Ritchie Blackmore’a święciła największe sukcesy.

Mijały lata. Estradowy krajobraz zmienił się jak w kalejdoskopie, a fanom brakowało kapeli, która potrafiłaby zagrać ostro, fantazyjnie, niebanalnie. Spece od show businessu wyczuwali koniunkturę i próbowali różnych chwytów, aby skłonić do reaktywowania „pięciu wspaniałych wyznawców purpury”. Ich wysiłki okazywały się daremne. Ważnie działając Johna Lorda z Blackmorem i Gillanem zdawali się być nie do pokonania. Oczywiście do czasu.

Każdy z muzyków, tworzących ongiś Deep Purple, funkcjonował całkiem niezłe w przemiale rozrywkowym. Kiedy suma oferowana przez sponsorów, zainteresowanych reaktywowaniem legendarnej grupy, osiągnęła zadowalającą wielkość, serca byłych antagonistów zaczęły mięknąć. W roku 1984 podano do publicznej wiadomości, że kwintet Deep Purple przystąpił w oryginalnym kształcie do pracy nad nową płytą. Dzielnicykarze snuli hipotezy, jak wyglądać będzie kształt nowej płyty, choć nikt ich do tego nie upoważnił. Muzycy mieli świadomość dotychczasowej drogi i wizję nowego przyszłości. Efektem ich wspólnych po latach przerwy poczynił była płyta „Perfect Stranger” (Perfekcyjny nieznajomy) uznana przez fachowców za rewelacyjne dzieło dinozaurów rocka. Niebawem, pisano, aby weterani grali z równą werwą nie zamuszając swych korzeni. Członkowie Głębokiej Purpury byli zbyt sprytni, by zła-

mac obowiązuje kanon Wiedzieli, że mają grać ostro, od serca, rzucając na kolana wyciekającą ich nagian publiczność. Zasada była prosta — Deep Purple musi być rewelacją rynku, rozpuszczając w proch wszelkie gwiazdy speed i trash metalu, opierające się, jakkolwiek by było, na ich wcześniejszych dokonaniach. Upór i konsekwencja zrobiły swoje. Album „Perfect Stranger” gościł na wielu (także polskich) listach przebojów.

Sukces fonograficzny najlepiej dyskutować długą trasą koncertową. Członkowie Purpury i ich manager: Bruce Payne wiedzieli doskonale w jaką uderzyć strunę. Po serii doświadczeń zorganizowali doskonale przyjętą trasę koncertową podczas której fani wielokrotnie organizowali „standing ovation” dla swoich mistrzów. Zakładany sukces został osiągnięty. Jego stopień nie zadowalał jednak żadnych emocji i nowych finansów członków Deep Purple. Wbrew logice i własnym możliwościom nagrali razem następną płytę „The House Of The Blue Light”. Album okazał się fatalny. Tym razem nie dało się już ukryć, że członkowie Deep Purple zjednoczyła żądza szmalu. Nie mieli nic ciekawego do zaprezentowania słuchaczom, a mimo to zdecydowali się na reaktywowanie kapeli i nagrywanie nowych płyt pod dawnym szyldem. Pierwsza z nich rozeszła się na fall entuzjazmu z powodu reaktywowania Purpury. Następna musiała, niestety, paść.

Deep Purple nie zamierza bynajmniej rezygnować. Dla podniesienia rangi firmy podjęto światowe tournée obejmujące Europę zachodnią, Stany Zjednoczone, Tajlandię i Australię. Ponad 7-miesięczne tournée ma zakończyć się sukcesem. Nie wątpię, iż on nastąpi. Miseria zjawia się dopiero w chwili, kiedy fani zaczęli analizować wartość ostatniego dysku. Nie da się nijak ukryć, że Deep Purple robi bokami. Rezultatem jego poczynił jest krótko mało ciekawy, wręcz zaprzeczający dotychczasowym dokonaniom.

Być może narażę się niektórym fanom Purpury, ale uważam, że reaktywowanie kapeli pozbawione było sensu. Kto nie wierzy niech posłucha koncertowego albumu „The Scorpions”. Ich nagrania usuwają skutecznie w cień piosenki gigantów Przeszłości Deep Purple rysując mi się w ciemnych barwach.

Istvan Grabowski

Rejowskie „Figliki”

Urszula Kołakowska

PRAWIE wszystkie podręczniki szkole pasują Mikołaja Reja na wielkiego moralistę oraz „ojca literatury polskiej”, w tym również „ojca literatury polskiego Odrodzenia”. Niewątpliwie jest on pisarzem, którego twórczość ma duże znaczenie dla rozwoju literatury polskiego Odrodzenia, jednak nie jest on „ojcem literatury polskiej”. Poprzedzony bowiem przez Biernata z Lublina i przez liczną rzeszę bakalarzy krakowskich, on, szlachcic, musi ustąpić miejsca skromnym, anonimowym mieszczanom, których zasługi w tworzeniu języka literackiego są najbardziej pionierskie. I wcale tych zasług nie umniejsza fakt, że osiągnięte przez nich wyniki ustępują najlepszym utworom Reja. Nie wiem też, czy sam pisarz rościłby pretensje do tego tytułu, a jeżeli tak, to z pewnością wyłącznie ze względu na przezabawne „Figliki”, które ukazały się drukiem w 1562 r. którymi to właśnie zapoczątkował fraszkopisarstwo w języku polskim. Niestety, o nich prawie wcale się nie pisze, albo są traktowane tylko marginesowo. Tak więc twórczość Reja na ogół bywa przedstawiana jednostronnie.

Dlatego też pragnę ukazać poetę od nieco innej strony niż to czynią opracowania szkolne i przybliżyć czytelnikom mniej znane utwory Mikołaja Reja, a więc figliki-dowcipy, a także, by zgodnie z zaleceniem pisarza głoszącego w przydługim tytule — „Figliki albo rozlicznych ludzi przypadki dworskie, które sobie po zatrudnionych myślach dla krótkowile, wolny będąc, czytać możesz” — zabawić czytelników.

Śmiał się zapewne i bawił sam Rej, gdy pisał:

MNICH CHCĄC SZAROWAĆ PANNE

OSZUKAN

Dziewczki jeden to mięcie mnich się rozmiłował,
Nie wiedząc, jak k niej przyjsz miał jabłko jej darował,
Ku temu już przyprawne. Matka obaczyła,
Wziąwszy je od panienki przed dom wyrzuciła,
Które nalaższy świnią, wnet je pożarła
I gdzie dojrzała mnicha, do niego się darła.
Potem u klasztornych drzwi ustawione leżała,
A mnich też wynisć nie śmiał, aże gardło dała.

Wśród figlików Rejowskich wiele jest dowcipów o zakonnikach i księżach. Nie w tym dziwnego, ponieważ Rej polemista i w innych utworach ze zjadliwością atakuje życie zakonników i księży. Temat ten jest właśnie charakterystyczny dla twórczości pana z Nagłowic. Różnica przejawia się tylko w tonie. W „Figlikach” autorowi z pewnością więcej nieraz zależy na głośnym śmiechu niż na satyrycznej ostrości:

KSIĄDZ JE PTAKI MIASTO RYB

Ksiądz w piątek będąc w drodze wjechał do gospody,
Nie miał on gospodarz ryb — wiere, będą głody —
Jedno trochę kuropatio, także innych ptaków.
Kazał je wnet zastawić i dla swoich żaków.
Jęli go upominać: — „Piątek dziś, prelatcie!”
On im rzekł: — „Zem ja jest ksiądz, jako dobrze znacie,
Łacnoć ja to przemienie, gdy wierzyć będziecie,
Ptaki jedząc miasto ryb, także się najecie”.

KSIĄDZ, CO JEŚĆ NIE MOĞŁ

Ksiądz jeden, iż jeść nie mógł, do ciepłic pojechał,
Jeden dobry towarzysz drogę mu zajechał.
Wziął go z sobą do domu, za to mu ślubując,
Iż w rychle lepiej miał jeść, u niego nocując.
Zamknął go w swym pokoju, jeść mu nic nie dawał,
Ksiądz, acz nierad, chcąc być zdrów, tak na tym
przestawał.
Po kilku dniach jął wołać: — „Prze Bóg! Jeść mi dajcie!
A już mię w tym więzieniu dłużej nie trzymajcie”.

Fabulę drugiego figlika powtórzył Rej za „Dekameronem”. Do „figlików” bowiem wprowadził pisarz przekłady i przeróbki dzieł obcych: umiejętnie dobierał sytuacje ogólnoludzkie, pospolite w faccjoniście renesansowej, i przenosił je na grunt polski, gdzie właśnie dzięki realistycznemu ujęciu przykładały się nieraz na całe stulecia.

Inna rzecz, że forma artystyczna figlików doznawała uszczerbku na skutek częstego uciekania się (z konieczności) Reja do różnych uproszczeń i skrótów, które narzucało nieraz brzmienie przerabianych tekstów obcych, gdzie obrona przez poetę forma ośmiogłoskowca miała ograniczoną przydatność. To wszystko sprawia, że trafiają się figliki nie tylko niejasne, ba, nawet niezrozumiałe, a często prymitywne.

Ale wśród „Figlików” jest wiele rodzimych „śmiesznych powieści”, przynoszących mnóstwo pozycji napraw-

dę zabawnych i, co także istotne, napisanych gładko, poprawnie. Na pewno rodzima jest anegdota:

DWA BISKUPI — CHYTRY A GŁUPI

Byli w Polsce pospółu razem dwa biskupi,
Jeden chytry, a drugi i z wieczora głupi.

Ten chytry wszystko mówił: — „Ba wiereć ja nie wiem!”

Głupi był bezpieczniejszy, mówił: — „Wszystko ja wiem”.
Blazen widząc je spółu, oni coś mówili,
Rzekł: — „Dawno tacy łzowie na świecie nie byli.”

Ten powieść, iż — „Nie wiem”, a wie wszystko, zdrajca,
Ten: — „Wszystko wiem”, a ledwie wie chłop, że ma jajca”.

Jest to anegdota słynnego błazna Zygmunta Starego, Stańczyka, o biskupach krakowskich, z których pierwszy („chytry”), Piotr Gamrat (1487—1545), mawiał: „wiereć nie wiem”, a wiedział wszystko, był humanistą, protektorem nauk, troskliwym mecenasem Akademii Krakowskiej, hojnym opiekunem artystów. Przy tym wszystkim to także jeden z wytrawniejszych mężów stanu tamtej epoki. Drugi natomiast biskup to Samuel Maciejowski (1498—1550), który powtarzał: „wiem, wiem”, chociaż nie wiedział.

Takie jak ta, anegdota z dworu królewskiego były na ogół chwytane na gorąco i wymieniano w nich nazwiska osób, których dotyczyły. Rej natomiast stosuje inną metodę: nie ujawnia nazwisk. Myślę, że czynił tak świadomie, ponieważ w świecie anegdot prawo własności nie obowiązywało i nie obowiązuje. Te same bowiem kawały opowiadało się i opowiada o różnych ludziach.

Humor Rejowski, chociaż przetarł się przez dwór Tęczyńskich, był bliski humorowi ludowemu, chłopskiemu. Wynikało to zapewne z faktu, że pisarzowi obcy pozostał świat renesansowy Ariosta, był natomiast wytworem i reprezentantem kultury mas szlacheckich, która niewiele różniła się od kultury ludowej, chłopskiej. Sądzę, iż tym właśnie należy tłumaczyć słabość Reja do przypowieści wulgarnych, prostackich, jaką jest np.:

PANNA Z KSIĘDZEM BISKUPEM

Pannę jedną proszono do księdza biskupa
I siedząc podle niego, puściła jej dupa.
Nie wiedząc, jakoby się w tym obmówić miała,
— „Toć jest” — niewiele myśląc, wnet odpowiedziała.
Ksiądz się pilnie jął pytać: — „Co by się to stało?”
— „Powieć, księżu biskupie, jedno poczkać mało!”
— „Czy to jest ksiądz biskup? — pyta mię ma dupa!”
— „Toć jest, przetoż znajże też już ksiądz biskupa!”

Zabrakło tu Rejowi subtelności, delikatności i przyzwyczajenia. Anegdota bardziej pasuje do kiosku z piwem niż do dworu królewskiego. A „Figliki” obfitują w takie wulgarnie kawały. Oddaje głos samemu pisarzowi, który charakter swoich „Figlików” tłumaczył koniecznością śmiechu:

Aż nie wiesz, iż duch smętny kiedy kogo ruszy,
Mędrzec pisze, iż kości i krew bardzo suszy.
Bo kiedyby ludzie wszystko by w klozie siedzieli,
Tylko myśląc, a bez żartów, uszak by poszaleli.

Obrona jednak „Figlików — śmiesznych powieści” jest łatwiejsza, gdy się zważy, że takiemu wytwornemu humaniście, jak Kochanowski, również nie pozostawały obce fraszki o podobnej tonacji, jak:

O KAPLANIE

Prawo jest, aby kaplan nie mógł pojąć żony;
Tenże nie ma być w żadnym członku uszczerbiony.
Jeśli nie miał mieć żony, mogłi go zostawić
Przy uszu, ale jajec lepiej było zbawić.

A przecież i Rej i Kochanowski musieli liczyć się nie tylko z własnym smakiem, ale z upodobaniami swych odbiorców. A skoro tak, należy przypuszczać, iż tego typu lektura odpowiadała gustom czytelnicy.

Z obfitego zespołu figlików Rejowskich zademonstrowałam zaledwie kilka próbek. Wybrałam swoisty rodzaj anegdot, podrywaniowiec bowiem z księży w w. XVI było u pisarzy czymś pospolitym. I nie tylko w w. XVI, ponieważ jednym z najczęstszych sposobów, używanym od niepamiętnych czasów, odbierania klerowi uroszczonego dostojęstwa, były dowcipy o księżach. W Rejowskich „Figlikach” wszelkie dowcipy na temat wykroczeń obyczajowych kleru miały z pewnością niezwykłą siłę argumentu polemicznego. Jednakże istotą tego typu jego dowcipów jest zakreślenie obszaru głośnego śmiechu, który ma postawić księdza w zasięgu zdarzeń pozbawionych wszelkiej podniosłości, a więc cielesnych, przyziemnych...

* KSIĄŻKI * KSIĄŻKI *

Aktualność z patyną

DZIĘKI Wydawnictwu Literackiemu czytelnicy otrzymali książkę w dzisiejszej produkcji wydawniczej nieczęsto spotykaną. Już choćby ze względu na jej aparycję: prawie pół tysiąca stron przy dzisiejszych mikro-powieściach, publikacjach doraźnych, zdawkowych, ulotkach literatury. Przyjęło się utosiwiać współczesność z aktualnością, skutkiem czego za niewspółczesne uchodzi to, co treścią, akcją, sztafetażem realiów wychodzi poza ostatnią „dekadę”. Wymieniona zaś książka ukazała się w serii zapomnianych ksiązek prozy polskiej XIX i XX wieku, a wcale nie potrzeba jej odkurzać, ani odcyszczać ze śniedźli.

Mowa o „Ciurach” Wiktora Gomulickiego, powieści napisanej w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, a wydanej w roku 1902. Wydanej zre-

Forsazeczka

Klub MPIK w Zielonej Górze ogłasza konkurs na rysunek satyryczny pt. „Sztuka”. Uczestnicy muszą (do 15 grudnia br.) nadesłać do pięciu rysunków (format i technika dowolna). Grand Prix — 50 tys. zł, poza tym nagrody i wyróżnienia pieniężne. Szczegóły: KMPIK, Zielona Góra, ul. Westerplatte 19.

W Koninie organizują konkurs poetycki o nagrodę „Milowego słupa”. I nagroda — 15 tys. zł. Ostateczny termin nadsyłania prac (ZW ZSMP w Koninie, Aleje 1 Maja 15, tel. 213-94) — 15 września.

Należy nadesłać zestaw nie publikowanych trzech wierszy w czterech egzemplarzach. Każdy utwór powinien być opatrzony godłem, do zestawu trzeba dołączyć zaklejoną kopertę z tym samym godłem, zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres autora.

W Płocku z kolei — VI Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Reymonta. Dzieli się on na trzy kategorie: poezja, poezja ogólna, małe formy prozy bez względu na tematykę (do 25 stron maszynopisu). Suma nagród — 120 tys. zł. Godło, zaklejoną kopertą — jak wyżej. Wierszy ma być co najmniej siedem, a egzemplarzy potrzeba aż pięć. Szczegóły: ZW ZMW, Płock, ul. Bielska 59, tel. 277-89.

W Wałbrzychu — turniej poetycki i plastyczny o „Złotą lampkę górniczą”. Pożądane motywy górnicze. I nagroda — 20 tys. zł. Termin nadsyłania prac — 30 września. Adres: Dom Kultury Kopalni „Wałbrzych”, Wałbrzych, Al. Wyzwolenia 21/23. Szczegóły pod telefonem 241-01 w Wałbrzychu. Tam też można dowiedzieć się o Turnieju Małarskim dla profesjonalistów.

Chcesz zostać aktorem?

Teatr STU zaprasza osoby mające mniej niż 25 lat, chcące się doskonalić poprzez teatr, do wzięcia udziału w intensywnym trzyletnim stażu aktorskim. Eliminacje — jesień br. Pisemne zgłoszenia i dalsze informacje: Studio Aktorskie Teatru STU, Kraków, Al. Krasińskiego 16.

szła wtedy nie książkowo, lecz w odciśniętych redagowanym przez Jana Skiwskiego czasopiśmie „Tygodnik Mów i Powieści” w Warszawie. To był pierwodruk. Jako książka powieści ukazała się we Lwowie w postaci dodatku literackiego do „Kuriera Lwowskiego”, co było wówczas praktykowaną formą promowania prenumeratorów. Kolportowana zresztą była i oddzielnie, w zwykłej sprzedaży księgarskiej. Tym wydaniem jednak autor nie poczuł się w pełni usatysfakcjonowany — powieść przecież całością problematyki i opisanych scen wyrosła z warszawskiego autentyku — tak więc zabiegał o wydawcę warszawskiego. Znalazł się: Zdzisław Dębicki jako redaktor „Biblioteki Dzieł Wyborowych”, która — dodajmy na wstyd dzisiejszego ruchu, a właściwie bezruchu wydawniczego — co tydzień wysyłała na czytelnicy rynek nowy tom literatury pięknej, pamiętników, opracowań popularnonaukowych.

Dlatego tak trudno było tej powieści przebić się przez szranki wydawnicze? Owszem, ze względu na swe zalety literackie znajdowała edytorów zwolenników, ale z drugiej strony istniał nacisk o jej wyhamowanie, powodowany przez przedstawicieli środowiska warszawskiego, które sł-

ownie poczuło się ugodzone, jako że „Ciury” (znamienny już sam tytuł) są wymierzone przeciw „miastu kramarzy”, „stolicy reklamy”, „edenowi bliźnierców” i „ojczyźnie kpiarstwa”, czym według Gomulickiego była wówczas Warszawa. Tak ją charakteryzował: „Warszawa nie jest miastem dla poetów i artystów. Nieswojsko tu jednym i drugim. Aby pozostać sobą, muszą odosabniać się; aby swe święte posłannictwo spełniać, muszą wyrzekać się wszystkiego, co daje życie ziemskie. Jeśli nie zdołają stworzyć sobie własnego świata, niby oazy zielonej na płaskach pustyni, giną tymi płaskami przysypani”.

A więc powieść — akt oskarżenia. W dodatku oparta na autentycznych doświadczeniach autora. Tu jednak zachodzi potrzeba pewnego rozróżnienia. Oto co mówi sam Gomulicki: „Prawda, że autor (jak to czynią zawsze, najczęściej bezwiednie, wszyscy twórcy) do tego utworu pewnych wewnętrznych, psychicznych rysów z własnej duszy położył — daleka wszakże była od niego myśl przerabiania swego życia na powieść”. A oto co dodaje Zbigniew Wasilewski jako autor ostatecznej redakcji „Ciurów” i objaśnienie do nich: „Wbrew tym zastrze-

niom autora, sformułowanym wedle obyczaju znanego od wieków wszystkim literatom świata, Gomulicki nader obficie, a nie tylko „niekiedy”, skorzystał w „Ciurach” ze swej biografii i realiów życia warszawskiego w latach 1871/2—1882. Prawdą jest i jedno i drugie. Jedno, bo warstwa literacka „Ciurów” góruje nad jej intencją polemiczną, chociaż impulsem powstania powieści był właśnie protest przeciw obyczajowości środowiska warszawskiego, tak więc czyta się ją jako dzieło sztuki, a nie wyłącznie rozrachunek; drugie, bo mimo to wy-mowa odniesień powieściowych do życiowego autentyku jest tak znaczna, że nie pozostawia miejsca dla możliwości, by powieść powstała bez osobistych i przykrych doświadczeń autora.

„Ciury” to powieść „z kluczem”. Wiele postaci tam występujących da się rozszyfrować jako osoby autentyczne. Ale znów trzeba dodać: błędem powieści jest, że została napisana do-brze. To znaczy: trafność i zręczność rysunku charakterologicznego powieści wychodzi przed jego ostrze krytyczne, jako że pisarska umiejętność, z jaką jest przedstawiona ujemna postać, zęściowo wybiela nawet czarny charak-

ter. Zachodzi tu zjawisko podobne do sytuacji Balzaka: autor „Komedii ludzkiej” deklaruje, że pisze „w blasku monarchii i religii”, natomiast temperament realisty spowodował, że wy-tworzony wizerunek społeczeństwa miał wyraz, jakby wyszedł spod pióra niemal jakobina.

W każdym razie „Ciury”, mimo że za czasów Gomulickiego „nad większą częścią tej komedii życiowej czas usypał już mogiłę” (jego słowa), zachowują aktualność nie tylko jako dobra książka, ale również jako trafny obraz warszawskiego środowiska. Jak wiele demograficznych zjawisk, tak i te z patologii społecznej w spotegowaniu powstałym przez warunki dużej aglomeracji miejskiej dadzą się jeszcze dziś zauważyć, czyli nihil nowi sub sole. Na dowód — nie z fin de siècle'u, ale z lat sześćdziesiątych bieżącego wieku powieść Eugeniusza Kabatca „Zółwie”. Nawet to samo deprecjonujące ujęcie tytułu.

Zygmunt Mikulski

Wiktor Gomulicki: „Ciury”. Wstęp Juliusza Wiktor Gomulickiego. Tekst ustalił i objaśnił Zbigniew Wasilewski. Wydawnictwo Literackie, 1986. Str. 494, cena 340 zł.

Zderzenia

SHOG-UR-BAN

OTO SŁOICZEK ze smaczną zawartością, doskonałą, jako przyprawa i dodatek do jaj na twardo, mięs na zimno, jako baza do sosów. Cena nie-wygórowana, coś ze 150 złotych.

Z etykietyki uśmiecha się ogorzala twarz rybaka, a napis brzmi „Przy-prawa Shog-Ur-Ban”. I cały sklep wybucha śmiechem.

Mają ludzie pomysły, ale ani za groź taktu, A może poczucia humoru, pikantnego, jak owa przyprawa wymyślona przez pewną firmę w Milejówku? Chociaż, może to ja jestem zbyt staroświecka?

(dey)

MIŁOŚĆ DO STAREGO

W DOBIE, GDY PÓLKI SKLEPÓW gospodarstwa domowego uginają się pod ciężarem tańszej zastawy stołowej, a „Jubiler” oferuje droższą, popły na miłośników sztuczków zabieranych z barów i restauracji zmała, a nawet, rzekibyśmy, iż ten niedogodniejszy objaw upodlenia społecznego całkowicie wygasi. Czasy, gdy poszczerbiony nóż i widelec pobierało się za specjalną opłatą przeszły, wydawałoby się, do smutnej historii. Tylko bar „Astoria”, w centrum Lublina, w środku ruchu turystycznego nie chce tego zrozumieć, wszyscy muszą wyłożyć u kasjerki „stówę” jeśli przyjdzie im ochota, na przykład na schabowy. Byłem niedawno świadkiem jak towarzyszka dwójku Amerykanką młodą dziewczyną usiłowała wy-musić im zasady „nożowej” operacji. Pal sześć Amerykanów, niech idą do „Unii”, ale ja sam zostawiłem już w kasie „Astorii” 400 złotych za nic. Nie mogę się bowiem jakoś przyzwyczaić do deponowania noża po skończonym posiłku. Może więc zebrała już firma dość funduszy na zakup tych kilkudziesięciu tanich i potrzebnych przyrządów do krajania? Chyba, że w imię miłości do starego zależy komuś na tym, byśmy musieli się jak najczęściej wstydzili!

(H.)

BEZ PRZESADY!

W LIPCIE ZAWIADOMIŁ REDAKCJĘ zdenerwowany rodzic, że źle się dzieje na obozie językowym na Snieżnicy, organizowanym przez Krajową Spółdzielnię Pracy „Oświata” w Krakowie, przy współudziale oddziału lubelskiego tejże spółdzielni. Wiedziony powinnością reporterską (przed rokiem pisaliśmy właśnie o tym obozie pozytywnie) udałem się wraz z zainteresowanym pod Kraków. W drodze dowiedziałem się o rozpaczliwych listach młodzieży obrazujących ponurą rzeczywistość wczasową: niestrawne jedzenie, brak wody do mycia, klepsko zorganizowane zajęcia, horrendalne warunki sanitarne i mieszkaniowe (kosz dwutygodniowego turnusu — 26 tysięcy złotych). Zanosilo się na burzę, rodzice grozili skandalem. Rzeczywistość okazała się wszakże mocno przesadzona. Już w pierwszych rozmowach ze „zbuntowanymi” zorientowaliśmy się w istocie konfliktu: wymaganiom stawianym przez czwórke „pokrzywdzonych” nie byłby w stanie sprostać żaden krajowy organizator masowego wypoczynku. Nie byłoby go bowiem stać na portiera w libelii, po-łędwicę a la Wellington na obiad, melbę na deser i na całonocne dyskotekę z najnowszych, Made in England, kaset video. Obóz, jak obóz, okazał się przedsięwzięciem zrealizowanym na miarę możliwości. To wymagania pewnej części młodzieży rozrosły się nam potężnie. Czasy, gdy najlepszym wakacyjnym wypoczynkiem była o-

derwanie się od wygod i rutyny życia domowego, wydają się przemijać bez-powrotnie.

Wracaliśmy więc do Lublina nie mniej poruszeni niż w drodze do Krakowa, dumając ponuro nad upadkiem w narodzie harcerskiego ducha. Nie chodzi przy tym o łamanie zasady „płacę, więc wymagam” lecz właśnie o zachowanie właściwych proporcji.

Rozpaczliwe listy do rodzin od wy-poczywającej młodzieży nie są wcale rzadkością, zwłaszcza na początku turnusów. Radzimy jednak zawsze poczekać z osobistą interwencją. Z reguły odradza się bowiem w końcu ów harcerski dryg wśród potrzeby luksusu. W opisanym powyżej przypadku trójka zawiedzionych powróciła jednak do Lublina. Duch pozostał usłony.

A swoją drogą ciekawe, czy są jeszcze w Polsce amatorzy obozów wędrownych?

(H.)

GDZIE SZABLA WOŁODYJOWSKIEGO?

OD KILKU MIESIĘCY trwają już prace. Ba, żeby trwały! Po prostu za blokiem przy ul. Pana Wołodyjowskiego 3 wykopano głęboki rów. Ziemię, którą usypał spychacz, zarosta-

już trawa. Nikt tutaj nie pracuje, choć podobno jakiś robotnik na chwilę się pojawił. Podłubał i zniknął jak kamfora.

Rów prowizorycznie zabezpieczona, wywieszono też odpowiednią tabliczkę, ale nie wszystkie dzieci umieją przecież czytać. Harczą tu często i tylko czekać aż stanie się nieszczęście. Wówczas do akcji wkroczy prokurator, no i ludzie się znajdą. Do roboty czy do siedzenia za kratkami?

A swoją drogą, gdy się patrzy na taką radosną twórczość, to człowieka biorą diabli. Jest reforma gospodarcza, dać więc pracującym tyle a tyle za całość wykonanej pracy w takim to a takim terminie. My jednak chyba ciągle płacimy nie za dzieło, ale za dniówkę, którą równie dobrze można spędzić i przy piwie zakupionym w pobliskim sklepie. Na razie ciągle nie ma tu jednak nawet kto pić!

(z)

KOMPUTER I PAPIER

OCZEKIWANA Z UTEŚKNIENIEM komputeryzacja PKP wkracza powoli i do naszych kas biletowych. W Lublinie na Dworcu Głównym w jednym okienku jest już komputer, w drugim jeszcze archaiczne urządzenie do sprzedawania biletów. W jednym okienku panienka wkłada kartoniki do drukarki, komputer pracuje, w drugim — jeździ biletowa „suwnica”, lub ręcznie wypisuje się bilety.

Fakt, różnica jest w czasie i wy-siłku, ale nie w zużyciu papieru. No cóż, nowoczesność kosztuje.

Na zakupiony w przeddzień podróży blankiet biletowy wychodzi tyle samo papieru, co na dwa komputero-we kartoniki, które jeszcze o „deczko” są większe od blankietów. Kartoniku zaś na bilet i dopłatę na przykład do ekspresu wychodzi tyle co na... dwanaście „przestrzałych” już tekturowych biletów.

W Warszawie Centralnej komputer na 30 minut przed odjazdem „By-strzycy” pokazuje że są już tylko miejsca w pierwszej klasie, a tym-czasem w drugiej są luzy. Ale skąd ma wiedzieć? Świeci, co mu do kom-puterowej lepetyny zadano, a klient płaci, co mu komputer policzy.

Na pamiętkę, podróżny ma dwa po-dłużne bilety — kartoniki, które może użyć jako zakładki do rozkładu ja-zdy na przykład

(dey)

GWARECTWO BUDOWNICTWA GÓRNICZEGO W KATOWICACH ZAKŁAD ROBÓT GÓRNICZYCH W MYSŁOWICACH, UL. POWSTAŃCÓW 19

zatrudni do pracy pod ziemią mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat na bardzo atrakcyjnych warunkach finansowych w kopalniach: Cze-czotf, Ziemowit, Piast i przy budowie metra w Warszawie po krótkim stażu pracy w wyżej wymienionych kopalniach.

Warunki socjalno-bytowe o wysokim standardzie. Możliwości wy-jazdu do prac eksportowych w krajach demokracji ludowej i kapi-talistycznych.

Nie zastanawiaj się — zgłoś się w Dziale Zatrudnienia, który u-dzieli informacji telefonicznej pod numerem 226-001 wewn. 53-57, jak również listownie.

4935/K

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wąsniowski.

Redaguje wspólnie: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz: Marta Denys, Józef Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Henryk J. Kamiński (komentator), Redaktor techniczny — Ewa Dybek (korektor) — Barbara Capan.

Redakcja nie wraca materiałów nie zamówionych zastrzeżenie sobie prawa skrótu.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. KRN w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza RSW, Prasa — Książka — „Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6, tel. 335-34.

Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony sekretariatu redakcji naczelnego z-ca redaktora naczelnego 335-93 sekretarz redakcji 338-93 dział publicystyki i literacki 325-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-026 Lublin skrytka pocztowa 121 polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1982. 21.07.1987. Z-5.

